

Dziś w numerze: ● Laureaci Nobla ● „Twarz ziemi ogłuszona milczeniem”
Szwagrowie ● W oporowskim zameczku ● Złote służące Hefajstosa
Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy



Nr 43 (405)
30. X. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



ROBERT GLUTH

PSIA WACHTA

Październik 1966 r. — jedna z najpiękniejszych jesieni ostatnich lat, pełna zapachu liści i białych kwiatów dla ukochanych nieobecnych. Nad starą widzewską fabryką, której cegły pamiętają legendarnego kapitalistę Kohna, wstaje słońce kolorowe i chłodne: wystarczy dłonie wyciągnąć, żeby zabarwiły się malinowym blaskiem. Kilka minut po 5 rano. Pod daszkiem przystanku tramwajowego gromadzi się spory tłum.

Według danych sanitariatów i służb meteorologicznych, godziny wczesnego świtu należą do nielicznych okresów zdrowego i spokojnego powietrza w wielkich skupiskach przemysłowych. O tej porze Widzew łączy zgodnie elementy krajobrazu wsi i miasta: W pobliżu nowych osiedli mieszkaniowych, zakładów włókienniczych i chemicznych, przeciągają furmanki wylądowane słomą i ogrodowizną. (Rolnicze wysepki trzymają się mocno w dzielnicy, która ongiś była wsią o tej samej nazwie).

W szybko jeszcze biegnących wozach MPK, jadą ludzie niezmiernie zmęczeni; wiele kobiet wysiada wcześniej, niż można było przypuścić. Ustawiają się w kolejkach przed zamkniętymi drzwiami: sklepy mięsne otwarte zostaną później, ale kto rano wstaje, temu pan rzeźnik daje — o czym wie każda widzevska prądką. Skończyła się nocna zmiana.

2.

Cofnijmy się jednak kilka godzin wstecz — gdy jeszcze trwa to, co niektórzy nazywają pozornie pieszczotliwie „nocką”, inni „przychodzeniem na noc”, „trzecią zmianą”. Marynarze określają służbę obejmującą godziny nocne i świt w sposób bardziej dosadny: powiadają „psia wachta”. Jestem tutaj nowicjuszem. W swoich „penetracjach przemysłowych” znalazłem się w dużej hali fabrycznej, w bałwanianej przedziałni obrączkowej. Moje stanowisko — woziciel przędzy. Jestem częścią nielicznej załogi męskiej przedsiębiorstwa. Tu tradycyjnie przeważają kobiety — ma-

Dalszy ciąg na str. 5

JERZY DARNAL

BURAKA SŁODKIE ŻYCIE

1.

Miłośnikom Napoleona i kolekcjonerom pamiątek po wielkim cesarzu Francuzów proponuję rozszerzenie zbiorów o nie-trudny do zdobycia eksponat. To nie żart, choć na żart wygląda: trzeba czym prędzej postarać się o burak cukrowy, który wojnom napoleońskim zawdzięcza swą wspaniałą karierę. Blokada kontynentalna, która zahamowała przywóz kolonialnego cukru z trzciny, spowodowała

zainteresowanie surowcami europejskimi. Wówczas to odgrzebano z lamusa odkrycie berlińskiego aptekarza Margraffa i uruchomiono na starym kontynencie nową gałąź przemysłu — cukrownictwo.

Pionierem tego przemysłu na ziemiach polskich był Henryk hrabia Lubieński, który na swoich dobrach w Guzowie uruchomił w roku 1829 pierwszą cukrownię. Interes musiał okazać się niezłym, skoro hrabia natychmiast znalazł naśladowców. Przed stu laty z okładem zawiązało się Warszawskie Towarzystwo Cukrownicze, które zakupiło, leżące dziś na krańcu województwa łódzkiego dobra Dobrzeń, gdzie wybudowano stanowiące wówczas szczyt nowoczesności zakłady przemysłowe. Ostatni dyrektor dobrzeńskiej cukrowni z ramienia Warszawskiego Towarzystwa Cukrowniczego, chemik Stanisław Grzybowski, zmarł w swej willi na krótko przed wybuchem II wojny światowej. Administrator, zięć dyrektora, zaledwie o kilka lat przeżył swego pryncypała i teścia w jednej osobie, a choć

zewnętrznie zakłady prawie się nie zmieniły, obaj panowie nie poznaliby dzisiaj dobrzeńskiej cukrowni. O podobnym rozmachu nigdy się nawet nie śniło ekspansywnemu Warszawskiemu Towarzystwu Cukrowniczemu.

W promieniu kilku kilometrów nie wypadła nikogo pytać o drogę do zakładów. Na szosie są wyraziste, ruchome drogowskazy: sznur furmanek do niemożliwości wylądowanych burakami. Początkowo wydaje się nawet, że konie otrzymały ciężar przekraczający ich siły — fury prawie nie poruszają się na asfalcie. Ale nawet po najchudszych szkapinach nie widać przepracowania, co każe domyślać się innej przyczyny tej nieruchomości końskiego i ludzkiego potoku.

Chłopi, ściślej zaś plantatorzy, właściciele tych pojazdów z rezygnacją przesiadają się na koźle. Zbliża się południe, a oni wyjechali z domów głęboką nocą. Zdają się więc na instynkt swoich koni, które same posuną się naprzód, jeśli zauważą lukę między kolejnymi furmankami.

mi. Ale niektórzy chłopci nie chcą podać się tym sennym nastrojom. Porzucając wozy, gromadzą się po kilku na skraju szosy, aby pomyśleć o godziwej rozgrzewce. Przewidujący zabrali ze sobą ciepłe od ich ciał monopolki, długo trzymane za pazuchą. Tym chłód i nuda na drodze nie nie robią. Ale mniej doświadczeni muszą sobie dopiero rozgrzewkę organizować. Wypatrują więc, czy na szosie nie pojawi się jakiś znajomy rowerzysta, ale lepiej jeszcze motocyklista. Zatrzymują go i pośladają „Samopomocy Chłopskiej” po pół litra i zakaske. Do wieczora przyjdzie im zorganizować jeszcze niejedną butelkę: osiemnaście godzin postoju na drodze trzeba przecieć czymś wypełnić.

Tory „ciuchci” są dla wszystkich sygnałem, że nareszcie dojeżdżają do buraczka-

Dalszy ciąg na str. 3



Moskiewskie rozmowy przywódców krajów socjalistycznych wzbudziły olbrzymie zainteresowanie i stały się przedmiotem licznych domysłów obserwatorów. Choć różni się oni opiniami, które z dyskusyjnymi zagadnieniami były najważniejsze, zgodni są jednak, że największą wagę poświęcono problemowi wietnamskiemu oraz sytuacji w międzyrodzinnym ruchu robotniczym, powstałej wskutek postawy przywódców chińskich. Oczekują jednocześnie w wyniku tych rozmów większego skoordynowania pomocy dla narodu wietnamskiego.

Tym ostatnim też trzeba chyba tłumaczyć fakt pojawienia się na łamach prasy zachodniej kilku publikacji o rozmiarach i skuteczności dotychczasowej pomocy. W „The Sunday Times” czytamy, np., że „północny Wietnam znacznie powiększył swoje siły powietrzne, złożone z radzieckich myśliwców typu MIG... i ma pod dostatkiem zarówno lotników jak i paliwa dla odrzutów”. „Newsweek” stwierdza natomiast, iż „korzystając z radzieckiej pomocy technicznej i wsparcia radzieckich „Migów”, pocisków rakietowych i dział przeciwlotniczych — Hanoi stworzyło najbardziej zaawansowany system ochrony przeciwlotniczej, z jakim kiedykolwiek lotnictwo miało do czynienia”. Pismo informuje, że dzięki doskonałej sieci radarowej samoloty nieprzyjacielskie śledzi się z dalekiej odległości, uruchamia natomiast „Migi” w ostatniej chwili tak, aby przecinały one drogę napastnikom przy najmniejszym użyciu pałec.

Przytaczam te głosy nie bez powodu. Jako że doniesieniami agencji i czytelnicy poinformowani zostali o wymianie zdań w Moskwie na temat realizacji przez kraje socjalistyczne postanowień lipcowej narady bukiarskiej, gdzie mowa była o pomocy „względniejącej” potrzeb, wynikającej z nowej fazy wojny — warto odnotować, jaka jest skuteczność tej pomocy. Wynika to zresztą z codziennych komunikatów prasowych, rejestrujących powiększanie się strat agresorów w Wietnamie.

Po tych kilku uwagach natury militarnej przejdźmy do polityki.

W poniedziałek rozpoczęła się w Manili głośno reklamowana przez część prasy amerykańskiej konferencja azjatyckich sojuszników USA na temat Wietnamu. Nie mając możliwości skomentowania jej przebiegu w tym felietonie (znowu te nieszczerne względy techniczne) — spróbujmy wyjaśnić, jaka to myśl przywódców Johnsonowi, kiedy „zgażał się” na ten dziwny szczyt, oficjalnie zainicjowany przez prezydenta Filipin, praktycznie spowodowany przez niego.

Zapowiadając, że będzie tam domi-

nować problematyka gospodarcza a nie militarna, prasa amerykańska przyznaje, że chodzi o zastosowanie wobec Azji tzw. „doktryny Monroego”. Johnson chce bowiem stworzyć podstawy wielkiej polityki azjatyckiej.

Oczywiście — nie jest to przypadkowy zbieg okoliczności, że data najdłuższej podróży, jaką kiedykolwiek odbył prezydent Stanów Zjednoczonych i konferencji manilijskiej, poprzedza listopadowe wybory do Kongresu. Aby uwierzytelnić to stwierdzenie pozwól sobie powołać się na niektóre opinie zachodniej prasy. Znajdujemy tam następujące określenia „kampania reklamowa w ramach kampanii wyborczej”, „rozstrzygający środek zadania porażki republikańskiej opozycji, jak i tym wszystkim, którzy zarzucają Johnsonowi ustępstwa wobec jastrzębi i zdradę gołębi”, „środek podważania twierdzeń, że zbyt mało robi się dla rozwiązania konfliktu wietnamskiego”.

Wystarczy, prawda? Ale to jest jeden powód „określenia azjatyckiej polityki” właśnie teraz. Drugi jest bardziej skomplikowany i ma ścisły związek z rosnącymi naciskami na ustalenie bardziej realnej polityki wobec Chin, tej sprawy Johnson poświęcił wiele uwagi w swych wystąpieniach na azjatyckiej trasie.

A praktyczny cel konferencji manilijskiej? Zmobilizowanie odepisanych sprzymierzeńców, którzy pośrednio lub bezpośrednio zaangażowani są w wojnę wietnamską u boku Stanów Zjednoczonych, ale stopień udziału których Waszyngton uznaje za niewystarczający. „Dziś — stwierdził prezydent w Canberze — możliwe jest dzielenie w sposób bardziej równy ciężarów obrony”.

Z wszystkich wymienionych względów konferencja manilska wzbudziła duże zainteresowanie.

I jeszcze jedna uwaga z tematyki wietnamskiej.

W ub. tygodniu zakończyła się debata generalna w Zgromadzeniu Ogólnym NZ. Wzięło w niej udział 109 mówców. Chociaż konflikt wietnamski ze względów, które omawiałem już na tym miejscu, nie był dyskutowany w postaci wyodrębnionego punktu porządku dziennego, cała debata przebiegała pod tym znakiem. Interesująca jest przy tym statystyka sporządzona na podstawie wystąpień szefów delegacji. Zaledwie siedmiu z wymienionej liczby pomieniło kwestię wietnamską. Spośród pozostałych jedynie 19 udzieliło poparcia Stanom Zjednoczonym. W konfrontacji z faktem, że w ONZ jest 14 krajów NATO i 22 OPA wiadać bardzo wyraźnie w jakiej to izolacji znalazła się wietnamska polityka USA.

Z wydarzeń europejskich chciałbym zwrócić uwagę Czytelników na: dość optymistyczne wypowiedzi w Komisji Politycznej na temat możliwości zakazu rozpowszechniania broni nuklearnej oraz rozmowę przewodniczącego SPD i nadburmistrza Berlina zach. w jednej osobie — Brandta z ambasadorem ZSRR w Berlinie — Abrasimowem. To spotkanie jest interesujące dlatego, że podczas gdy władze bońskie zganiły Brandta za ten kontakt, ten ostatni zapowiedział jeszcze nie jedno podobne spotkanie.

W. SŁAWSKI

TKronika TYGODNIA

■ Egipski dziennik „Al-Ahram” pisze, iż polityka niezaangażowania powinna zostać przemysłana na nowo. Kraje niezaangażowane nie mogą już dłużej zadowolić się odgrywaniem roli buforu między dwoma antagonyzującymi blokami, gdyż zamiast dwóch bloków istnieje obecnie cztery bieguny przebiegania: Waszyngton, Moskwa, Pekin i Paryż. Czy presja moralna, pochodząca z polityki niezaangażowania jest wystarczająca? — stawia pytanie dziennik. Kraje niezaangażowane — zdaniem pisma — winny prowadzić rokowania z wielkimi mocarstwami na stopie równości. Aby zdobyć siłę, kraje te powinny zjednoczyć się pod względem wojskowym, gospodarczym i strategicznym. ZRA, Jugosławia i India są zdaniem „Al-Ahram” tymi trzema krajami, które w obecnej fazie mogą zrealizować jedność.

■ Belgradzki dziennik „Borba” charakteryzuje stosunki między Chinami i Albanią — pisze, iż dalekie są one od tego, co można by nazwać niebem bez chmurki. Milczenie Tirany wobec „rewolucji kulturalnej” świadczy o tym

— kontynuuje pismo, że pewne niedomówienia na temat przyszłości Chin i ich „czarowej gardii” można spotkać nawet tam, gdzie Pekin spodziewa się tego najmniej. ■ Na przestrzeni minionych miesięcy br. granice Włoch przekroczyło 20.253.600 turystów, obok krajołowców. W hotelach zamieszkiwało w tym czasie ponad 18 milionów turystów przez łącznie około 80 milionów dni. Wpływ z turystyki wyniósł około 630 miliardów lirów.

■ Zdaniem brytyjskich ekspertów gospodarczych, nie ulega obecnie wątpliwości, że po 6 miesiącach stagnacji, gospodarka brytyjska zmierza obecnie w kierunku recesji, która będzie najpoważniejsza od chwili zakończenia drugiej wojny światowej.

■ „Lubie liczne rodziny” — powiedziała z głębokim przekonaniem żona senatora Roberta Kennedy, Ethel (38 lat). Państwo Kennedy oczekują właśnie dziesięcioletniego dziecka, które ma przyjść na świat wiosną 1967 roku.

■ Rumunia podała oficjalnie do wiadomości, że ubiega się o przewodnictwo następnej

■ Liczba pracowników administracji w Jugosławii zwiększyła się w porównaniu z 1957 rokiem do 170 tysięcy do około 200 tysięcy osób w 1962 roku. Prasa jugosłowiańska uskarża się na wciąż występujące zjawisko liczebnego wzrostu „drogiej i nieracjonalnej administracji”.

■ Rok 1966 jest rokiem narodzin bułgarskiego przemysłu samochodowego. Ruszył montaż francuskiego samochodu osobowego „Bulgarrenault-8” oraz „Moskwicza-408”. W 1970 roku Bułgaria wytwarzać będzie przy kooperacji z firmami francuskimi i zakładami radzieckimi łącznie 25 tysięcy wozów osobowych.

■ Sinhua: „Tysiące ludzi ze wszystkich części Chin i świata przybywa do Szaoznan, rodzinnej wioski przewodniczącego Mao i słynnego miejsca rewolucji proletariackiej. Od stycznia do września br. odwiedziło Szaoznan ponad 400 tysięcy gości. Wszystkie w Szaoznan jest im fak drogie, że często zabierają kamki lub grudki ziemi i owijają je w chusteczki, aby zabrać je ze sobą do domu.”

■ Amerykański program badań kosmicznych znajduje się w ścisłej zależności od Departamentu Obrony. Dwie trzecie z około 170 satelitów umieszczonych w przestrzeni kosmicznej przez USA w okresie ostatnich dwóch lat było dziełem Departamentu Obrony. Departament ten inwestuje około półtora miliarda dolarów w program kosmiczny.

■ Organ ZKJ „Komunist” opublikował artykuł „Dwie ujemne cechy krytyki społecznej”. Pierwsza z nich polega na krytykowaniu ujemnych zjawisk bez wyjaśniania ich przyczyn. Wrazem drugiej cechy jest tendencja do „objektywizowania”, pod którą ukrywa się silny biurokratyzm. Jedni — pisze pismo — sprzeczają krytykę do rejestracji wypaczeń, słabości i nadużyć ze strony poszczególnych osób lub instytucji, nie dostrzegając przyczyn pojedynczych zjawisk, kontekstu społecznego, w którym się pojawiły. Drugi z kolei w trosce o „zachowanie prestiżu Związku Komunistów, republiki, a nawet państwa, opowiadają się za taką krytyką, w której główne miejsce zajmuje werbalizm, orłinkowość, anonimowość, lub ogólna odpowiedzialność „niektórych towarzyszy”, „w związku z pewnymi zjawiskami”, „w niektórych środowiskach”, demagogiczne tezy o wiecznym procesie itp.

■ W swoim czasie Pablo Picasso (84 lata) posiadał opinię — niebezpiecznego dla kobiet. Teraz — rzekł artysta, — człowiek czuje się jak skropowany. W przeszłości, powiedział staremu przyjacielowi — fotoreporterowi „Figaro Literaire” w udzielnym mu wywiadzie — naga modelka była zupełnie bezbronna. Mogło się ją malować, rysować lub robić ołówek się chciało. Dzisiaj natomiast mamy do czynienia z nowym rodzajem kobiet, z którymi nie wiadomo jak postępować. Np. to, wskazał na kartce jednego z magazynów ze zdjęciem przedstawiającym batalion kobiet izraelskich w marszu z karabinami — Co robić z takimi amazonkami. Fantastycznie! Okropnie! Możliwość jest tu bez szans.

■ Jak pisze publicysta „Litteraturnej Gazety”, reforma ekonomiczna przeprowadzona w Związku Radzieckim zmieniła radykalnie stosunek kierowników przedsiębiorstw do planu. Kiedyś dążeniem każdego zakładu było uzyskanie możliwie największych wskaźników planu, dla którego to celu „buszowano w ruch całej kunszt dyplomatyczny, a nawet znajomości prywatnej”. Ci sami ludzie, którzy aż do 31 grudnia bronili się przed zwiększonymi zadaniami, w pierwszych dniach stycznia sami zobowiązali się do przekroczenia planu „w ramach współzawodnictwa socjalistycznego”. A potem przychodził 1 Maja, i dalsze rewidowanie zobowiązań w kierunku ich podwyższenia. Następnie zbliżała się rocznica Rewolucji Październikowej — i znów to samo. Dzień Konstytucji, nowe zobowiązania, wciąż to samo — ponadplanowa produkcja. Często-kroć działające gospodarze przyznawali się do tego, że muszą pozostawić sobie rezerwy, aby móc podejmować zobowiązania socjalistyczne, a niekiedy wręcz ich do tego nakłaniano. W chwili obecnej natomiast wszystkie przedsiębiorstwa, które zostały już przedstawione na nowy system planowania, same zażądały zwiększenia swych zadań produkcyjnych.



— Zwierciadło, zwierciadło na ścianie, powiedz kto jest najpiękniejszy...

sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ dla swego ministra spraw zagranicznych, Cornelliu Manescu. Amerykańska agencja UPI podaje, iż kandydatura Manescu popierana przez wszystkie kraje Europy wschodniej ma duże szanse powodzenia. W ten sposób po raz pierwszy przewodniczącym Zgromadzenia byłby komunistą.

■ „Newsweek” o polityce zagranicznej Johnsona: „Błąd prezydenta polega na tym, iż nadaje on często kosmetycznym zabiegom prestiż poważnych międzynarodowych inicjatyw. Programy mające zyskać międzynarodowe uznanie nie nadają się na ogół do reklamowych tricków. Jeżeli prezydent chce rozwiać atmosferę niedowierzania otaczającą jego wcześniejsze inicjatywy, powinien odosić ostateczne rezultaty negocjacji, a nie przedstawiać niedopracowane propozycje, których zainteresowane rządy nie tylko nie miały szansy zaprobować, ale nawet rozważyć.”

■ Jawna dyskredytacja idei komunizmu nazywa „rewolucją kulturalną” w Chinach radzieckie „Uczcielska Gazeta”. Krucjata przeciwko kulturze wszystkich czasów i narodów, zniszczenie jej pomników i zastąpienie ich cytatami i portretami Mao Tse-tunga jest w sposób zasadniczy sprzeczne z marksizmem-leninizmem — konkluduje pismo.

■ Prezydent Indii Radhakrishnan w przemówieniu na powitanie prezydenta Tito: „Świat pełen jest problemów. Dzieje się tyle rzeczy, z których nie jesteśmy zadowoleni, ale sytuacja nasza przypomina na sytuację chóru w starożytnym teatrze, który mógł przewidzieć tragedię, ale nie mógł jej zapobiec.”

Mój przyjaciel, Faulkner i Priestley



Jeden z moich kolegów oświadczył niedawno: „Uważam Williama Faulknera za największego pisarza wszech czasów”. A po tem powołał się na podobną opinię, wygłoszoną przez Fryderyka Dürrenmatta. Ponieważ nie podzielałem i nie podzielałem jego przekonania, wdaliśmy się w dyskusję, broniąc zażarcie swoich stanowisk. Co do mnie, nie mógłbym z całą pewnością powiedzieć, którego z pisarzy można uznać za największego, wiem natomiast, który z pisarzy inni osobicie najbardziej odpowiadają. Takim autorem jest mianowicie Józef Conrad. Lubię jego prozę, chętnie wracam do jego nowel i powieści, pełnych uroku i owej szczypty tajemniczości, która rozstrzyga o ich fascynującym oddziaływaniu na czytelnika. Ale mój sprzeciw wobec opinii kolegi nie oznacza, że nie żywię podziwu dla Faulknera. Owszem, jak najbardziej, jest to przecież pisarz — co tu gadać — znakomity. Tyle, że nie porównuję go do Conrada, a i z utworów Faulknera wolę raczej te mniejsze. Wolę, na przykład, opowiadania Faulknera niż jego powieści. „Dwaj żołnierze” to prawdziwa perła nowelistyki światowej. Świetnie napisana, a przy tym jakże ludzka.

Parę miesięcy temu otrzymałem, wydaną w Londynie przed kilku laty, obszerną książkę J. B. Priestleya: „Literature and Western Man”. Znany w Europie dramaturg i autor powieści (tłumaczonych również na język polski) wyłożył w tej książce swoje poglądy na literaturę europejską, od średniowiecza poczynając, a na wieki dwudziestego wieku. M. innymi zajmuje się on oceną twórczości Faulknera. Oto, co na ten temat przeczytałem u Priestleya: „Henri Bernstein, francuski pisarz teatralny, powiedział kiedyś, że Hollywood tryśka geniuszem, brak mu jedynie talentu. To samo można powiedzieć o Faulknerze. Gdy jego wielbiciel mówią nam, że jest on geniuszem, jedynym prawdziwym geniuszem w literaturze współczesnej Ameryki, to mają oni niewątpliwie rację. Ale nie dodają, naturalnie, że brak mu talentu. Faulkner jest genialny, ponieważ potrafi, jak niewielu tylko pisarzy, przewyższyć barierę dzielącą świadomość od podświadomości i wskutek tego wpaść w swoje dzieło to,

co podświadome, jak gdyby opowiadał nam jakiś niezwykle sen. Ponieważ w powieściach Faulknera świat zewnętrzny przemieszany został ze światem wewnętrznym, utwory jego mają taką siłę i są tak zagmatwane. Pozostajemy pod ich wrażeniem, ale i czujemy się zagubieni, gdyż nie wiemy, czy ofiarowuje nam się Mississippi czy mitologie, Talent, który — oprócz geniuszu — posiadają wiele pisarzy, wniósłby w ten chaos ład i porządek. Styl Faulknera, posiadający wielobarwną pełnię geniuszu i rozlewający się w niepomnianym gadulstwie zyskałby ogromnie, gdyby istniał talent, który by styl ten uformował i ukształcił.”

Już wiem, co powiedzą moi przeciwnicy, a raczej przeciwnicy Priestleya. Powiedzą oni: „Priestley tak pisze, bo sam nie dorasta Faulknerowi do pięt. Przecież go zawiść, że nie stał się obiektem adoracji jak Faulkner.” Czy Priestley napisał swoje słowa, powodowany zawiścią, czy nie — tego nie podejmuję się rozstrzygać. Zresztą to nieważne. O wiele ważniejsze jest to, czy w słowach Priestleya mieści się jakaś racja. Moim zdaniem — tak. Autor sztuki „Pan inspektor przyszł” wypowiedział rzecz istotną, którą kiedyś z jakiejś okazji wypowiedziała nasza Maria Dąbrowska: że dobra i wielka literatura zawsze starała się nadać ład rzeczywistości, która jest chaosem. Tak, tylko że odnosiło się to raczej do prozy dziewiętnastowiecznej. A w prozie dwudziestowiecznej zostały zburzone wszystkie kanony, wszystkie reguły i zasady klasyczne. Przyznaję, że trochę mi żal tych obalonych lub obalanych prawideł. Uwagi moje spisują na marginesie nowego tomu opowiadań Faulknera „Zstap, Mojżesz”, który pięknie przełożyła na język polski Zofia Kierszys i dość starannie (ale nie za pięknie) wydał Państwowy Instytut Wydawniczy. Jednakże opowiadania te, przynajmniej niektóre z nich, godzą w siebie elementy prozy dawnej z elementami prozy nowoczesnej. I to jest w tym tomie wspaniale. Czyta się te opowiadania z podziwem, ale i z sympatią. Podziwiamy robotę pisarską i wrzucamy się losami ludzi. Czyż w końcu nie o to w literaturze pięknej chodzi?

Jan Kłopotnicki

BURAKA SŁODKIE ŻYCIE

Dalszy ciąg ze str. 1

nego placu. Ale przeleci po szynach nie jeden pociąg, zanim furmanki rzeczywiście dobią do wagi. Wtedy ludzimi ciężko jest ścierpieć każdą przeszkodę na drodze do chybottliwego, drewnianego pomostu, gdzie koniom ślizgają się nogi, a wozy lecą niebezpiecznie do tyłu i trzeba zapierać koła kamieniami, burakami, co jest pod ręką. A jednocześnie baczny okiem obserwować rachunkowość wagowego.

Bliskość wagi czyni chłopów nieustępliwymi. Mają małe karteczki z wezwaniem na określoną datę i żądają, aby honorowo harmonogram opracowany przez zarząd cukrowni. Ale wagowego nie można akurat nigdzie znaleźć, okienko, gdzie przyjmują od plantatorów karteczki jest dyskretnie zamknięte. Chłopi rozpoczynają więc poszukiwanie inżyniera, który kieruje całością zajęć na buraczanym placu.

— Panie inżynierze, a wagowego to nie ma.

— A nie ma. Wagowy też człowiek, poszedł na obiad.

— A chłop to nie człowiek?

— Człowiek.

Rozmowa została skończona. Chłopi wracają do wagi, aby powiedzieć głośno, co myślą o takich porządkach. Potem wraca wagowy i znowu robi się cicho. Czasem tylko wybuchnie kłótnia, gdy wagowy, zorientowawszy się, że plantator przyjechał poza harmonogramem, nie chce zważyć buraków. Padają prośby, groźby, błagania, zaklęcia. W tym czasie na drodze, trzy kilometry od placu, znowu robi się zastój. A kiedy potok ruszy, chłopci odetchną z ulgą: ważą i dopiero kiedy sami wjadą na plac buraczany, jakimś spodem z wagowym, znowu wstrzymają sznur furmanek na szosie. Długi sznur. Na wagę wjeżdża w ciągu doby 1200-1400 pojazdów.

Dlatego rozpoczęła w pierwszym dniu kampanii hałda buraczana tyje z godziny na godzinę przestawiając sobą magazyny i niższe budynki zakładów. Gdy zwózka buraków zostanie późną jesienią zakończona, zza hałdy widoczny będzie tylko dymiący dzień i noc przez 4 miesiące komin cukrowni. Wtedy zacznie się proces odwrotny: hałda zacznie opadać, magazyny zaś wypełnią się workami z cukrem. Z bocznic kolejowej zakładów dzień w dzień odjeżdżać będzie 15 wagonów słodkiego ładunku.

2.

Przejeżdżając szyny normalnotorowej kolei autobus mija tabliczkę z napisem „Dobrzelin” i zatrzymuje się naprzeciw budynku administracji. To jedyny środek lokomocji łączący osadę ze światem, kolej przewozi tylko ładunki. Po drugiej stronie szosy stanęły niezgrabne i posępne czworaki, oddające wiernie świadectwo wiekowi zakładów. Jak przed laty buczy syrena cukrowni ogłaszając zmianę. W jedynym sklepie mięsny nie ma już nic do kupienia, a w jedynym sklepie spożywczym gromada robotników i ich znajomych plantatorów, popija z butelek „Cytrus” rozprawiając głośno o interesach. To pracownicy sezonowi, przyjeżdżający do roboty na czas kampanii. Czują się jeszcze niepewnie w nowej skórze chłopów-robotników i chętnie wypilby coś mocniejszego dla dodania sobie odwagi, ale przewidujący sklep „nie trzyma” żadnych krzepkich trunków.

Kampania stawia w pogotowiu całą okolicę. Tak było już przed stu laty i tak pozostało. Na mapie zawieszanej w dyrektorskim gabinecie zobaczyć można wyrysowaną grubą krechłą strefę oddziaływania cukrowni: obszar 8.000 ha rozrzucony w pięciu powiatach dwóch województw. Jeszcze bardziej imponująco przedstawia się liczba plantatorów, którzy podpisali kontraktacyjne umowy. Warunki nie są najgorsze, bo z hektara można wyciągnąć 18.000 złotych, chętnych do podjęcia takich pieniędzy też nie brak. Trzeba było powołać do życia specjalną służbę agrotechniczną, nadzorującą plantacje, ale potrzeby surowcowe cukrowni są rzeczywiście olbrzymie. Blisko dwa i pół miliona kwintali buraków.

Bo też zakłady nie są już ta cukrownią, którą uruchomiło sobie w niegdysiejszych

latach warszawskie towarzystwo akcyjne. Moc przerobowa wzrosła przeszło pięciokrotnie, a w nowe maszyny i urządzenia tylko w ostatnich dwóch latach władano blisko pięćdziesiąt milionów złotych. W okresie międzykampanijnym brygady remontowe i budowlane prawie nie opuszczają fabrycznych pomieszczeń.

Antoni Rychliński, komendant straży, który pracuje tutaj ponad czterdzieści lat określa sytuację krótką sentencją:

— I w kapitalizmie i w socjalizmie chodzi o to, aby burak wpadał jedną dziurą, a z drugiej żeby wylatywał cukier. Ale to jednak nie to samo. Teraz przetwarzamy tutaj 22 tysiące kwintali na dobę, a jednego razu aż 24 tysiące kwintali buraków.

Rychliński każdą zmianę w zakładach traktuje jak coś, co go dotyczy osobiście. Nigdzie poza cukrownią nie pracował, cieszy go każde urządzenie, każdy nowy daszek wystawiony na szópach składów czy hali fabrycznej, gniewa zaś każda przeszkoda na drodze do chwały cukrowni. Więc do czego to podobne, aby nie znalazło się dwudziestu chłopów na parowoziki wąskotorowej kolei? Albo żeby cukrownia miała kłopoty z werbunkiem ludzi do roboty w sezonie. Za Grzybowskiego to chłopci dzień i noc stali pod bramą i prosili się do pracy. Ale teraz widocznie za duży rozmach. I ludzie się, panie, trochę popsuli. Nawet na parowóz nie można znaleźć chętnych.

Ale najbardziej boli Rychlińskiego sprawa „łańcucha”, podnośnika łańcuchowego zamontowanego przez jakąś szacowną krakowską firmę. Jak oni to montowali, dziwi się strażnik, że co i rusz peka jak zapalki stalowe trzpiecie. A tego się ukryć nie da, bo tam chłopci zajeżdżają furami po wysłódki na pasze i zadzierają do gór głowy, i patrzą drwiaco na ten łańcuch, aż Rychlińskiego zalewa krew.

Ale kłopoty cukrowni na tym się nie kończą. Występują bowiem także poważne braki w kadrze inżynieryjno-technicznej. Próbowano przyciągnąć nowe siły fundując stypendia dla studentów wyższych szkół rolniczych i wydziału chemii spożywczej Politechniki Łódzkiej, gdzie istnieje sekcja cukrownicza. Stypendiów tych ufundowano coś siedem, ale efekt ich jest prawie żaden. W cukrowni zdecydował się zostać tylko jeden absolwent. Inni pobyli kilka miesięcy i wyjechali. Ucieczkę uzasadnił krótko:

— Gdzie my tu sobie na wsi znajdziemy odpowiednie żony. A z miasta żadna kobieta za nami nie przyjedzie.

Trzeba jeszcze dodać, że młodzi ludzie wypowiadający tę opinię urodzili się i wychowali na wsi, oraz że ukończyli wyższe szkoły rolnicze.

Cukrownia zaniechała więc dalszych fundacji i radzi sobie sama, jak potrafi. Radzi sobie reszta nie najgorzej. Krótkie zwiedzanie hal produkcyjnych może przekonać o tym najwybredniejszego znawcę zagadnień cukrowniczych.

3.

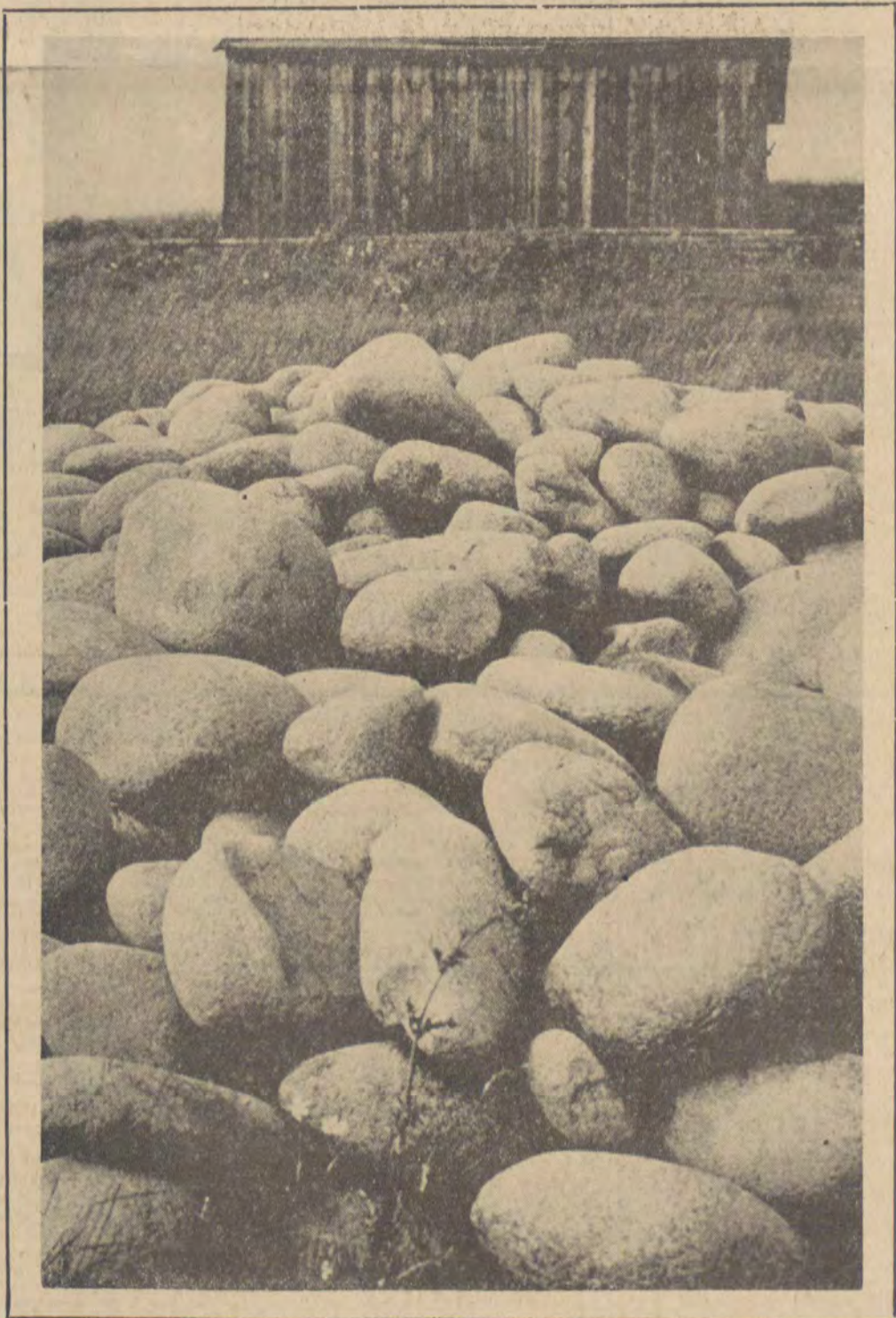
Po każdej zmianie pustoszeje i zapelnia się na nowo szop na rowery i motocykle, którymi dojeżdżają do pracy sezonowcy. Po każdym gwizdku syreny pustoszeje ulica przed fabryką i Dobrzelin żyje tak jak żył przed kampanią. Stali mieszkańcy osady przyzwyczaili się już do tego czteromiesięcznego gwaru. Zawód cukrownika przechodzi tutaj z ojca na syna i rodowici dobzelinianie stanowią trzon liczebny, bo ponad czterystuosobowej załogi stałej.

Obecnie większość tych ludzi mieszka w zakładowych budynkach mieszkalnych i naprzeciw zakładów, żywi się w zakładowej stołówce i posyła dzieci do zakładowego przedszkola. Jedyne boisko piłkarskie także zbudowała cukrownia, podobnie jak dom sportowy, w którym mieści się biblioteka i ruchowski Klub Prasy i Książki. Do ludzi, poza sprzętami w mieszkaniach, należą tylko krowy, które trzymają tutaj każdy, bo to jednak wstyd żyjąc na wsi, kupować w sklepie mleko.

Warunki mieszkaniowe nie są łatwe, w hotelu robotniczym zatrzymały się wic rodzinie przyjezdnych, którzy na stałe związali się z cukrownią. Sezonowcy, dla których ten hotel był pomysły, przyjeżdżają do niego dopiero w okresie śno i mrozów, kiedy zakończą prace polowe w swoich gospodarstwach. Wnioską do monotoni dobzelinińskiej nieco ożywienia swoją chłopską niezgrabnością, ale z wiosną wyniosą się, skąd przyszli.

Wiosną nie zabraknie jednak w Dobrzelinie innych atrakcji. Skojarzone w okresie kampanii pary połączą się na ślubnym kobiercu w Żychlinie albo w Bedlinie. Ostatnie worki cukru opuszczają magazyny, ale pracy w cukrowni nie zabraknie. Przez całe lato ludzie będą czyścić urządzenia produkcyjne, szykując je do nowej kampanii. Te cztery jesienno-zimowe miesiące są tutaj najważniejsze. Wtedy nie ma czasu, żeby się podrapać. Wiadomo, tylko burak ma naprawdę słodkie życie.

JERZY DARNAL



Coraz mniej pilotów

Jaka cenę płaci Amerykanie za barbarzyńskie naloty na Wietnamską Republikę Demokratyczną? Jakże są w istocie amerykańskie straty na polach bitew w południowo-wschodniej Azji?

Reportrzy i naoczni świadkowie wymieniają zazwyczaj cyfry bardzo wysokie. Natomiast oficjalne komunikaty Pentagonu podają liczby własnych strat niższe od tych, jakie znamy z komunikatów sił zbrojnych DRW.

Jaka jest prawda:

Oto co pisze na ten temat hamburski tygodnik „Der Spiegel”, bynajmniej nie sympatyzujący z DRW:

„Tylko w jednym miesiącu działań wojennych amerykańska eskadra startująca z sjamskiego lotniska w Ta Khli straciła nad północnym Wietnamem i Laossem 15 ze swych 18 samolotów bojowych i aż 9 pilotów.

Były to wyjątkowo ciężkie straty, ale i przeciętny haracz pilany przez amerykańskie lotnictwo nad południowoazjatyckimi polami bitew, osiągnął już tak wysoki poziom, iż dalsze prowadzenie wojny w dotychczasowym rozmiarze staje się problematyczne.

Mimo to wszystkie amerykańskie jednostki lotnicze — wraz z trzema lotniskowcami działającymi u zatoki Tonkijskiej — utrzymywane są dzięki rozpaczliwym wysiłkom, w pełnym stanie bojowej liczebności. I dzieje się tak, chociaż Amerykanie stracili dotąd w Wietnamie dużo więcej maszyn i pilotów, niż przyznają to ich oficjalne komunikaty.

Według powściągliwych danych Pentagonu artyleria p. lot. DRW, Mig i rakiety przeciwlotnicze zestrzeliły około 530 amerykańskich samolotów bojowych — z tego około 400 nad DRW, a 130 nad Wietnamem Południowym. W cyfrach tych — bardzo, jak się zdaje, optymistycznych — jednak na pewno nie mieszczą się:

— „samoloty, które wróciły wprawdzie do bazy, ale tak uszkodzone, że nie nadają się do remontu”;

— „maszyny, które rozbiły się na skutek innych przyczyn niż bezpośrednie zestrzelenie przez UPLA”;

— „samoloty i helikoptery zniszczone przez partyzantów na ziemi”.

A po rozliczeniu z tych strat cyfra maszyn zniszczonych — i nie nadających się do dalszej walki — przekracza tysiąc i zbliża się do tej, jaką podają komunikaty strony przeciwnej. Łączna wartość zniszczonego sprzętu ocenia na jest na 3 miliardy dolarów.

Najcięższe straty poniosły jednostki lotnicze prowadzące działania nad dżunglą. Tak np. lotnictwo marynarki wojennej — dziesiątkowane — musiało wprowadzić ostatnio do akcji dawno przestarzałe typy maszyn — np. typ T-33 i A-413, już od roku 1956 wycofane z uzbrojenia.

Dowództwo lotnictwa taktycznego — jak pisze publicysta — ekspert Hanson Baldwin z „New York Timesa” — dysponuje obecnie na terenach całych Stanów Zjednoczonych tylko dwoma eskadrami taktycznych maszyn supernowocześnie. Pozostałe przekazano jednostkom szkoleniowym. Te ostatnie dwie eskadry oczekują również na odlot do Wietnamu.

Ostatnio doszło do ostrego zatargu między generacją a Pentagonem: chodziło o to, kto ponosi odpowiedzialność za te, tak drastyczne braki w wyposażeniu lotnictwa taktycznego. Wojskowi twierdzą, że wina obciąża Pentagon, który nie doceniał roli samolotów szturmowych we współczesnej wojnie. Urzędnicy Pentagonu bronią się twierdzeniem, iż straty w Wietnamie zaskoczyły dowódców amerykańskich i przekroczyły planowane przez nich wskaźniki uzupełnień. Wina jest zapewne obojętna: nikt nie przewidywał takiej skuteczności wietnamskiej obrony p. lotniczej.

W końcu września McNamara podwyższył i tak wystrubowane zamówienie na rok bieżący o dodatkowe 280 samolotów szturmowych.

Ale mimo to mówi się, że przy obecnej liczbie zestrzeleń, olbrzymi przemysł lotniczy Ameryki, najwcześniej w 1968 roku nadąży z uzupełnieniami. Jednak i wtedy nie wszystkie dziury będą załatwane: brak jest bowiem i pilotów. Lotnictwo marynarki wojennej USA nie ukrywa, iż do pełnych etatów brakuje mu 1600 pilotów bojowych. W lotnictwie wspierającym piechotę morską brak jest 650 pilotów.

Ponad 200 pilotów amerykańskich zginęło w ostatnich miesiącach. 100 — zestrzelonych nad północnym Wietnamem — woadło w ręce żołnierzy DRW. Ale tonięlna lista strat: dochodzi jeszcze i upadek morale, zniechęcenie, przekonanie, iż za wszelką cenę trzeba wycofać się z brudnej wojny. Oprócz więc ciężkich strat bojowych, tylko w tym roku odeszło do cywila ponad 700 pilotów amerykańskich. Mimo trudności, znaleźli oni sposób na to, by skończyć z niebezpieczną służbą w Wietnamie.

(B.)

str. 3

**„Twarz ziemi
ogłuszona
milczeniem”**

Z NOTATKI SŁUŻBOWEJ:

„W dniu 26. VIII. 1966 r. o godz. 15.25 ob. E. B. zawiadomił tuł. Komendę MO, że popełnił samobójstwo jego szwagier — Eugeniusz Z., syn Antoniego i Marii, ur. 12. II. 1930 r. w Rudkach, pow. Rawa Mazowiecka, kawaler, wykształcenie wyższe, mgr polonistyki, nauczyciel, bezpartyjny, zamieszkały w Z. Po udaniu się na miejsce wraz z lekarzami, w mieszkaniu w Z. w mieszkaniu leżące zwłoki Eugeniusza Z. na podłodze, ubrane jedynie w majteczki kąpielowe. Na kłamec drzwi pokoju znajduje się sznur białej bielizny, złożony w osiem, który E. B. przeciął po stwierdzeniu, że Eugeniusz Z. popełnił samobójstwo. Na stole w pokoju znaleziono list skierowany do rodziny, w którym pożegnał rodzinę, powierzył swoje imię do podziału i zlecił szereg osobom wymienionym w liście zwrócić zaściągnięte długi. W końcu listu przeprosił całe społeczeństwo i dyrektora S. Na miejscu zabezpieczono kilka kartek z pismem denata”.

* * *

Gienka poznałem przed piętnastu laty. Był jeszcze wtedy licealista (stracił kilka lat nauki na skutek wojny), pamiętam, że nosił szkolną tarczę na ramieniu. Przyszedł na zebranie Kola Młodych Pisarzy i przyniósł swoje wiersze. Wiersze były młodzieńcze, nieporadne, surowe, ale szczególną surowością, która zwracała na siebie uwagę. O sobie mówił niechętnie, z widocznymi oporami. Za to w dyskusjach zawsze zabierał głos, nie wahał się krytykować wierszy kolegów, nawet tych, z którymi był zaprzyjaźniony. Czerwił się, zaczął dukać, ale zawsze powiedział w końcu to, co mu leżało na watrobie.

Poem nasze drogi się rozeszły. Od czasu do czasu czytałem jego wiersze w prasie, kiedyś dowiedziałem się, że dostał nagrodę poetycką na konkursie młodych. Jakiegoś dnia lata temu zaprosił mnie na wieczór literacki do szkoły w Z., gdzie był wykładowcą języka polskiego. Spotrzełem, że występując publicznie mówi już znacznie swobodniej, młodzież słuchała go z uwagą, widać było, że go poważa i darzy sympatią.

Pochwalił się przede mną, że Wydawnictwo przyjęło mu tom wierszy, będzie to jego pierwsza książka, jeśli nie liczyć debiutu w wydawnictwie zbiorowym. Mówił o tym z dumą, niezdarnie radością, łatwo było odgadnąć, czym ma stać się dla niego ta pierwsza własna książka wierszy, na którą czekał wiele lat.

Ostatni raz widziałem go w Łodzi, w czerwcu bieżącego roku. Uskarżał się trochę na swoje zdrowie, napomknął o konfliktach w szkole, o zamiarach powrotu do Łodzi, gdzie miałby lepsze możliwości pracy i rozwoju. Był jednak przy tym wszystkim pełen optymizmu, pokazywał mi nowe wiersze, cieszył się, że jego książka jest już w druku. Dlaczego więc zabrakło mu cierpliwości? Czemu tar-

gnął się na życie, i to właśnie wtedy, gdy otwierały się przed nim nowe perspektywy?

* * *

Do Z. przyjeżdżam podmiejskim tramwajem. Po drodze, na wysokości przedostatniego przystanku, mijam okazały budynek szkoły, w której uczył Gienek. Jest pora południowa, ludzie pracują, na ulicach niewielki ruch. Biorę taksówkę i każe wieźć się na Komendę MO. Pytam szofera, czy słyszał o miejscowym nauczycielu, który popełnił samobójstwo? „A tak, to już z miesiąc temu, tu stałe ktoś się wiesza, ostatnio powiesił się młody chłopak w łazience u narzeczonej”...

Istnieje teoria, że samobójstwo po pełniają często ludzie niedocenieni, którzy pragną zdobyć rozgłos, zwrócić na siebie uwagę. Gienek mógł się zaliczać do tych ludzi. Chyba nie o taki rozgłos mu jednak chodziło...

Na milicji dowiaduję się, że funkcjonariusz, który prowadził dochodzenie w sprawie Gienka, wyjechał do Łodzi. Pytam więc dwóch innych funkcjonariuszy, co słyszeli o wypadku? „Zasadniczo, to nam nie wolno mówić” — oświadcza jeden. „Powiedz krótko: wszystkimu winna wódka” — orzeka drugi. „Panie, do czego ona nie doprowadzi! Znalłem jednego stolarza, był dobry fachowiec, a jak się rozpił, to wszystko zaczął knocić”...

Wsiadam z powrotem do taksówki. Jestem przynęcony: a więc potwierdza się wiadomość, że Gienek pił ostatnimi czasami. Mówi mi o tym wspólny znajomy z Z., lekarz, także były członek Kola Młodych. „Trochę się boję o niego, pije, ma zaburzenia równowagi psychicznej. Na szczęście dał się namówić na kurację, jest pod opieką Przychodni w Łodzi”.

Dyrektor Liceum, były zwierzchnik Gienka, długo mówi na wstępie o tym, jaki to był dobry człowiek, koleżeński, uczynny, nikt nie mógł powiedzieć na niego złego słowa. Kochał młodzież, był jej prawdziwym przyjacielem, potrafił rozpaść w niej miłość do literatury. Przez jakiś czas kierował ośrodkiem metodycznym, rozkręcił ruch literacki wśród młodzieży, tchnął w nią ducha obywatelskiego, poczucie odpowiedzialności za losy miasta i kraju. Głośno były opracowane z jego zachęty listy młodzieży do „Tygodnika Kulturalnego”, zamieszczone w cyklu „Gdybym był połem”. Jako wykładowca miał wprawdzie dosyć dowolny program, układany według własnych zainteresowań, mówił wiele o współczesnej literaturze, o Mrozu, Różewiczu, a zamędywiał romantyzm i pozytywizm, ale dyrektor nie był rygorystą i patrzył na to przez palce. W grę weszła jednak potem sprawa, na którą przez palce patrzeć nie było można. Gienek zaczął zaglądać do kieliszka i nie mógł się temu oprzeć, to było jego nieszczęściem. „Przeprowadzaliśmy z nim rozmowy, byliśmy nawet dwa razy u niego w mieszkaniu, raz ja, raz mój zastępca. Przyrzekł, że nie weźmie kieliszka do ust, a potem znów poszedł wieczorem na wódkę. Na lekcjach zaczął opowiadać młodzieży o swoich zawodach życiowych. Pewnej uczennicy wpisał do zeszytu sentencję, że jeśli chce, by jej się w życiu wiodło, nie powinna okazywać ludziom, że jest uczciwa. Zawsze szybko rozczulał się nad sobą, nad swoją samotnością, był jednak o tym skryty, nie potrafił zaskarbić sobie przyjaciół. Szukał ich tam gdzie ich szukać nie należało. Był to przede wszystkim robotnicy, kompani do kieliszka. Pan rozumie, Z. nie jest dużym miastem, tu wszyscy wszystko widzą, a do tego pedagog, więc sprawa nabrała rozgłosu. Ostatnio zaniedbywał się też w pracy, opu-

ścił szereg dni bez usprawiedliwienia, mogliśmy zrobić mu dyscyplinarkę, ale nie zrobiliśmy, zresztą po tym przedstawił zwolnienie lekarskie. Sprawa stawała parę razy na POP, dostał upomnienie, potem nagane, w końcu POP skreśliła go z listy członków partii”.

Ostatnie zdanie dyrektor wypowiada ścisłym głosem, jakby ubolewając z powodu tego werdyktu, ale w gruncie rzeczy widać, że znajduje w nim oparcie. Nie wystraszca mu to jednak, więc dopowiada, że w dzień śmierci Gienka, po powrocie do domu, dowiedział się od żony o telefonie jej znajomej, a matki pewnej uczennicy, która wyrażała obawę, by Gienek nie uczył w nowym roku szkolnym jej córki. „Potem dostałem wiadomość, że Gienek popełnił samobójstwo, i powiedziałem żonie, że ta matka może już być spokojna...”

Spokój — przynajmniej ten zewnętrzny — to wrażenie, jakie wywołuje opuszczając szkołę. W całym budynku cisza, ale cisza lekko rozszema, znak, że w klasach odbywały się lekcje. W korytarzu siedzi woźna i robi na drutach — wcale nie spokojny, pewności siebie, ładu i porządku.

Ład i porządek panuje również w mieszkaniu Gienka. Jest to ład pustych ścian i umytych podłóg. W kuchni sprzątają jeszcze dwie siostry zmarłego, przy oknie stoi bratowa z małym dzieckiem na ręku. Jest również sąsiadka, która paliła Gienkowi w piecu i robiła porządki. „Proszę pana, taki przyzwyczajony człowiek, cały dzień medytowałam w fabryce, dlaczego on to zrobił? Bo nie jeden drugiego zabije, a swojego życia broni. Dlaczego mu to życie zbrzydło?”

Ano, mogło mu zbrzydnąć. Posłuchajmy i drugiej strony, a właściwie — kilku stron, bo są to głosy wielu osób, z którymi rozmawiałem. Głosy, które znalazły również potwierdzenie w zeznaniach w czasie śledztwa.

Gienek był najstarszym dzieckiem w ośmioosobowej rodzinie robotnika folwarczanego. W chwili ukończenia studiów umiera matka, Ojciec zostawia całe rodzeństwo na jego głowie i żeni się powtórnie. Gienek wydaje siostry za mąż, rodzinie zakłada również jego młodszy brat. On nie ma kiedy tym się zająć, zresztą pochłania go bez reszty praca nauczycielska, która jest jego powołaniem. Pierwsze konflikty rodzą się wtedy, gdy staje w obronie uczniów, zwłaszcza tych mniej zaradnych, pochodzących ze wsi. Później jego klasa zajmuje w szkolnym współzawodnictwie pierwsze miejsce. Część kolegów pałry już teraz na niego niechętnie, zazdrość jest rzeczą ludzką.

Dostaje mieszkanie w nowym bloku i urządza je nowocześnie. Coraz więcej pisze, coraz częściej drukuje swoje utwory. Działa przy tym społecznie, prowadzi koło polonistyczne, organizuje z młodzieżą liczne wycieczki do kin i teatrów. Jest przyjacielem młodzieży, więc młodzież odwzajemnia się sympatią. „Proszę pana, jak kiedyś zachorował to uczniowie przynosili mi mleko, robili śniadania” — powiedziała mi sąsiadka Gienka. Niechęć części kolegów narasta. Pogłębia ją bezkompromisowość Gienka, który zawsze mówił prawdę w oczy. Ludzie tego nie lubią, dają mu to odrobinę odczuć. Gienek jest wrażliwy, boli go to, składa trzy kolejne wnioski o przeniesienie. Inspektorat i liceum nie godzą się jednak na to. Gdy zostaje w Z., odbiera mu się część klas i wychowawstwo w jego klasie. Nie zraża się tym, pracuje dalej społecznie z młodzieżą, organizuje imprezy artystyczne i wieczory literackie. Jest już jednak wtedy sam. A samotność to zły doradca — powiada przysłowie. Nie znalazłszy zrozumienia w swoim środowisku, wśród ludzi wykształconych, szuka go gdzie indziej, i trafia jak najgorzej. Są to ludzie nie tyle prości, co — prostacy, znajdujący jedyną radość życia w wódce.

Tak jest, szkoła stara się Gienkowi pomóc. Najpierw przeprowadza się z nim rozmowy na temat wódki i z tego towarzysza, przeprowadza z reguły przy świadkach, żeby mieć dowód, że rozmowa się odbyła, a może nie tylko dlatego. Później dyrektor wysłał do niego jednego z nauczycieli, wtedy ten przychodzi z litrem wódki, a potem oświadcza dyrektorowi, że Gienek leży w domu pijany. Dyrektor nie dowierza, wysłał drugiego nauczyciela, ten oczywiście potwierdza słowa pierwszego. Nazajutrz organizuje się nad Gienkiem sąd w szkole, po którym zostaje mu głęboki uraz do ludzi. Nietrudno odgadnąć, w czym znowu szuka zapomnienia. Przeczuwa jednak niebezpieczeństwo, zgłasza się do Poradni Przeciwalkoholowej, choć zdaje sobie sprawę z tego, że przypnie mu się etykietkę alkoholika. W Polsce prowincjonalnej kto pije, ten jest Polak, kto leczy się — to alkoholik. Na Gienka spada teraz cios po ciosie. Najpierw odsuwa się od niego dziewczyna, która kocha, z którą miał się żenić. Jest rozbity psychicznie, nie ma siły iść do szkoły. Wkrótce potem otrzymuje pismo z POP o usunięciu go z partii. Decyzja ta zapada w czasie jego nieobecności na zebraniu. Gienek przeżywa o bardzo bolesnie. Jest na zwolnieniu lekarskim lekarza — neurologa, więc siostra zabiera go do siebie do Łodzi. Chce przynieść się tu na stałe, szkoła chętnie by go teraz puściła, ale Gienek ma już urobioną opinię, zresztą nie tylko we władzach szkolnych. Kiedy opiekun grupy poetyckiej przy Zarządzie Wojewódzkim ZMS, do której Gienek należy, chce wysłać go z odczytem, organizatorzy z pewnej instytucji upowszechnieniowej zapytują, czy zdaje sobie sprawę, z tego, kogo wysyła? Gienek jest przybity wstyd mu wobec kolegów, nie decyduje się iechać z nimi na obóz wypoczynkowy. Wraca natomiast do Z. Nie ma pieniędzy na życie — zaczyna szereg drobnych pożyczek. Zbliża się nowy rok szkol-

ny. Gienek nie dostaje zawiadomienia o konferencji nauczycielskiej — w Z. rozchodzi się pogłoska, że nie będzie już uczył w szkole. Jest opuszczony przez wszystkich, bez środków do życia. Załamanie psychiczne osiąga stadium końcowe. Próbuje jeszcze się ratować, chodzi po mieście szukając znajomych, chce się z nimi widzieć, rozmawiać, chce żeby mu wyjaśnili, jak to jest możliwe, że on człowiek z gruntu prawy i uczciwy, do niedawna dobry nauczyciel, znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Ale jedni znajomi są jeszcze na wakacjach, drudzy nie mają czasu. Chodzi przez całą noc, rano o piątą widzą go ludzie idący do podmiejskiego tramwaju. O ósmej otwierają sklepy. W jednym z nich Gienek kupuje sznur do bielizny.

Splata z niego gruby powróż, na łóżku kładzie czystą koszulę i święteczne ubranie, na stole — wódki osobisty. Piszcz jeszcze parę słów długopisem, długopis jest wypisany, odciska tyłko rowki na kartonie, ale nie wychodzi już z domu, by kupić nowy. Po godzinie piętnastej krewny jego zawiadamia milicję, że Eugeniusz Z. popełnił samobójstwo.

* * *

Śledztwo w sprawie okoliczności śmierci Eugeniusza Z. zostało umorzono. Sprawa jest oczywista: sam odebrał sobie życie, sam ponosi za to odpowiedzialność. Nie tylko jednak za to. Ten człowiek z zachowaną równowagą psychiczną wiodł z całą wyrazistością w chwilę śmierci, że czynem swoim obciąża społeczeństwo. Dlatego przesłisł je w liście za swój czyn. Czy jednak słusznie wziął całą winę na siebie?

„Wybaczenie, jestem za biedny, by życzyliwść ludzką kupić na targu” — napisał w jednym ze swych wierszy. A w innym: „Uspione niebo kapie łzami i czernią na twarz ziemi ogłuszonej milczeniem...”



Mara Konstantin — kompozycja (Mozajka)

JANINA

RZĄSA — ADYNOWSKA

**W gerańskim
„MUSIS
SACRUM”**

Teatr gerański nazwaliśmy żartobliwie „musis sacrum”. Właściwie nie uczyniliśmy tego my, tylko Reussowie, książęta turyńscy, którzy wybudowali ten szacowny przybytek sztuki. I na pewno nie uczynili tego żartobliwie, tylko bardzo serio. Nad portalem teatru umieszczono mia-

nowicie jakąś bardzo antyczną damę w dość skąpym stroju, trzymającą w ręku zapaloną bardzo niemiecką pochodnię. I właśnie u stóp tej bardzo antycznej damy widnieje napis — „musis sacrum”.

Gmaszysko jest potężne, masywne i szare, i z dala pachnie wczesną secesją. Ale za to — cóż za pakowność! Duża sala teatralna o olbrzymiej scenie, dwa balkonach i nie kończących się rzędach łila krzesel, mała sala teatralna z kameralną sceną, wspólna sala koncertowa z organami, dwie sale prób i niezliczona ilość pokoi z instrumentami i bez, do wykonywania najrozmaitszych ćwiczeń i praktyk artystycznych.

Jednym słowem — grać było gdzie. Dodać należy, że teatr gerański odziedziczył jeszcze mały teatrzyk w miejscowości Greiz, odległej o mniej więcej sześćdziesiąt kilometrów od Gery. Używam terminu „odziedziczył”, ponieważ Greiz posiadał do niedawna swój własny, stały teatr.

W latach 1964—65 zostały zlikwidowane niektóre małe sceny. Władze NRD wyszły z założenia, że wobec szerokiego zasięgu kina i telewizji, prowadzenie małych, prowincjonalnych scen nie ma już po prostu sensu. Aktorzy o pełnych kwalifikacjach zostali zatrudnieni w większych ośrodkach, inni — otrzymali pracę według swoich kwalifikacji. Był świadkiem przeprowadzenia tej reorganizacji i muszę przyznać, że zaimponowała mi sprawność z jaką została wykonana.

Ponieważ Greiz jest sporym miastem i posiada — jak się rzekło — ładną scenę, Gera objęła rodzaj patronatu kulturalnego nad tym ośrodkiem, gwarantując mu pewną ilość przedstawień rocznie. Natomiast tzw. „objazdy” jakie się u nas praktykuje, w Niemczech w ogóle nie istnieją. Szkoła energii i pieniędzy po to, by pokazać ludziom w terenie namiastkę sztuki. Widza dowodzi się do teatru, a nie na odwrót.

Bossem tego całego interesu teatralnego był pan Tichhardt, starszy szpikowaty mężczyzna z bródką, z zawodu aktor i reżyser operowy. Nosił ciemne szkła, które nazywają tu „kūnsterbrille” i urzędował w po-fabrykanciej willi, gdzie mieścił się biura teatru, biblioteka, i nie-

kóre pracownie. Obecnie willa ta nazywa się „Hans-Otto-Haus”, od imienia znanego aktora — antyfaszysty, który zginął z rąk hitlerowców. Ow Hans-Otto-Haus nosił piętno starej, solidnej, niemieckiej elegancji. Cudowne, przyciemnione przez czas drewniane boazerie, stare meble inkrustowane mosiądzem, trochę dobrych tkanin i meissenowskie piece. Każdy z tych pieców, to było prawdziwe cacko. Kiedyś wchodząc do sekretariatu, zauważyłam, że w jednym z tych cackach pała się po prostu smrodliwe brykiety.

— Dlaczego panj kazala napalic w tym piecu? — wyjąkałam zdziwiona do sekretarki.
— Bo zimno! — odpowiedziała zwięźle.

Cóż znaczy majestat dwu skrzyżowanych mieczy, wobec przemierzonych nog!

Mówiąc o panu Tichhardt jako nacelnym dyrektorze teatru w Gerze, używało się terminu „Intendant”. Ow „Intendant”, to szef całej maszyny teatralnej — teatru dramatycznego, opery, operetki, filharmonii i baletu. Każdy z tych działów dopiero posiada swojego kierownika o odpowiednim fachowym wykształceniu. Np. szefem teatru dramatycznego

jest tzw. Spielleiter, coś w rodzaju naszego kierownika artystycznego. Intendant w zasadzie nie wtrąca się do poszczególnych działów, jeśli chodzi o stronę artystyczną. Niemniej jednak, gdy się wtrąca, zdanie jego jest bardzo wazkie.

Kiedyś, jeszcze na samym początku, zapytałam pana Tichhardta, dlaczego to wszystko jest pod jedną dyrokcją. Spłynęły się cyfry i argumenty. Tak jest taniej i w związku z tym można więcej zainwestować w aktora, bo przecież w końcu wszystko co na kulturę, czerpie się z jednego worka.

Drugim moim zapytaniem było, co to takiego jest „Anrecht”. Otóż „Anrecht”, jest to coś w rodzaju abonamentów z góry gwarantujących teatrowi określoną ilość widzów. Posiadacze tych abonamentów to stali klienci, miłośnicy teatru. Posiadają oni nawet nie pisane prawo reklamacji. Na rozmowach z widzami, które prowadzi się systematycznie, mogą oni wypowiedzieć swoje uwagi pod adresem repertuaru, reżyserów i obsady aktorskiej. Muszę się tu zastrzec, że podczas tych rozmów nikt nie odważy się dyskwalifikować pracy ludzi teatru albo mówić o nich bez należytego uznania. Ist-



PSIA WACHTA

Dalszy ciąg ze str. 1

Wszystkie kobiety młodsze i starsze, doświadczonych i całkiem niedoświadczonych, zgrabnych i zniszczonych wieloletnią pracą. „Chłopów” używa się do prac zdecydowanie cięższych, albo do roboty wymagającej większego zasobu wiedzy technicznej i do nadzoru nad produkcją (majstrów, kierowników zmian, brygadziei). A nowicjusze zaczynają swoją działalność w fabryce — chyba zwyczajowo — od nocnej zmiany. Jeśli zwyczaj ów wyrósł z pewnych przemyśleń — to wart jest duży braw: Skoro kandydat na robotnika odwali bezboleśnie tydzień „psiej wachty”, to przypuszczalnie zostanie w zakładzie i mogą być z niego ludzie.

Posiadam przeciętną kondycję, przeciętne zdrowie, budowę ciała raczej typową, a i łatka upoważniają jeszcze do zwrotów w rodzaju „młody człowieku” (notabene, Mały Kapral w tym wieku miał już za sobą nie tylko zwycięstwo nad moście pod Arcole — lecz, jak wiadomo, czasy się zmieniają). Mogę przeto uchodzić za egzemplarz dość niezwykły w rozważaniach na temat „nowicjusza w fabryce”.

Krótko o zakresie obowiązków: Każdy wóziec (a jest ich czterech na sali w czasie zmiany), posiada do swej dyspozycji bardzo fikuśny wózek na trzech małych kółkach, opatrzone długim, metalowym dyszlem z poprzecznym uchwytem. Przy pomocy tego urządzenia należy dostarczyć z przedziału do magazynu około 10—12 skrzyń wypełnionych przedziałem, pchać wózek przez podwórze, lub drogą okrężną — via inne hale produkcyjne, windy i podziemny kanał. Co kto woli: wybór pomiędzy wygodą i czasem trwania całej operacji. Czas jednak nagli, bo w określonych godzinach trzeba ponadto dostarczyć od 4 do 6 skrzyń wówek dla maszyn obróbkowych (cewki zbiera się w specjalnych przewijalni — na zasadzie „kto pierwszy ten wygrany”)... i zwieźć około 14 pustych skrzyń na przedzie, „szar-

nieje zasada dobrego wychowania społecznego — ludzie, którzy mają państwowe egzaminy, którym urzędowo pozwolono wykonywać swój zawód — muszą się na nim znać.

Gdy mnie z kolei pytano o życie teatralne w Polsce mówiło się przede wszystkim o repertuarze. Pytano mnie o Ionesco, Becketta, Genetę i Mrożka. W Republice po prostu nie gra się tych sztuk. Zapytałam wówczas co się gra. Otóż, gra się klasykę, przy czym więcej Szekspira niż Moliere, więcej Goethego niż Schillera, żadnych Mussetów, żadnych Giroudeaux, mało z dramaturgii hiszpańskiej i prawie nie z włoskiej. Z literatury współczesnej gra się czasem coś zachodnio-niemieckiego, czasem coś rodzimego, czasem coś z dramaturgii krajów obozu socjalistycznego. Z klasyki rosyjskiej gra się więcej Gogola niż Czechowa, rzadziej Turgeniewa i Gorkiego, a Lermontowa i Suchow-Kobylińska — weale. Z polskiej klasyki grano niegdyś „Damy i Huzary” oraz „Pannę Maliszewską”. Dużo gra się natomiast Brochta i dużo współczesnej literatury NRD-owskiej. Później miałam się przekonać że wóziec teatru z młodymi, często jeszcze bardzo mało

doświadczonymi dramaturgami stoi na bardzo wysokim poziomie. Przykładem tego była praca nad sztuką Horsta Salomona — „Das Katzengold”. Ponieważ samo tworzywo literackie było jeszcze bardzo niedoskonałe, teatr zapewnił sztuce wsparcie dramaturgiczne na dużym poziomie. Ze sztuki wyciętność o się tylko dało — były dyskusje, konsultacje i poprawki. Wychodzą z tego słusznego założenia, że pisanie, to nie tylko talent, lecz również i warsztat. A reszta — robił warsztat reżysera i aktorów. Byłam kilkakrotnie świadkiem tego, jak z tworzywa, które na początku mogło się wydawać nijakie, powstawały bezbłędne fachowo spektakle.

Pierwsze dni mojej pracy w teatrze w Gerze, upływały na zasadzie szoku. Kiedyś idąc na salę prób, uświadomiłam sobie, o co chodzi. Z głównej sceny dobiegały dźwięki orkiestry, z pokoi ćwiczeń koloratury i basy, z sali prób na pierwszym piętrze komendy baletmistrza i tupot nóg, z małej sceny dramatycznej krzyk, z sali koncertowej dźwięki organów, z pomieszczeń obok szereg szpad, a z dużej sali prób wysoki głos reżysera ustawiającego scenę. Przyzwyczajona do ciszy na-

brując” odpowiednio mocne opakowania z różnych oddziałów produkcyjnych. Wreszcie — w środku i pod koniec zmiany — odbywa się ważenie przedzdy aktualnie wyprodukowanej, połączone z odbiorem pracy przedek i wypelnianiem zwieszonych skrzyń. W czasie ważenia, dwóch wóziec dostarcza metalowe pojemniki ze szpulkami ze stanowisk przy warsztatach, a dwóch obsługuje wagę i lokuje przedzie we właściwych skrzyniach — zgodnie z jej numeracją i gatunkiem. Grubość nitki na szpulkach oznaczona jest specjalnym, kolorowym znakiem — i biada temu, kto pomiesza asortymenty: musi wówczas przebierać wszystko łapami, a minuty płyną, wszystkich diabli biorą. Przy wadze trzeba zwinąć się jak w ukropie.

Pierwsze spostrzeżenie: mit jest jedynie mitem. Utańczyło się przekonanie, że nocna produkcja przypomina zasadę „aby odwalić”. W oczach wóziec nie nie ulega zmianie — dzień, czy noc, obojętne. Te same ilości „pełnych” kursów do magazynu, tyle pustych i wyładowanych cewkami skrzyń, ten sam pośpiech przy wadze. Dochodzi jedynie silniejsze zmęczenie. „Mokry się urodziłem, mokry umrzesz” — ktoś dobrotliwie zakpił, gdy zły potem przysiadłem na ławce w „klubie” i żarliwie zaciągnąłem się dymem papierosa.

3.

Kudy tam poważnej instytucji o dowcipnej nazwie PUPIK „Ruch” — zakładającej świątynie malej czarnej po wsiach — do nieformalnych „klubów” fabrycznych! O nich napisać można całą księgę. Tutaj pali się, dyskutuje, wymienia uwagi o kolegach, majstrach i uroczach oraz marnościach życia, czyta prasę... tutaj cwaniacy potrafią się dekokować, a spece od organizacji własnej pracy zapadają w drzemkę nawet dwugodzinna. Czasami ktoś spożywa posiłek przyniesiony z domu. Rzecz jasna, przybytek służy również do załatwiania innych potrzeb fizjologicznych i mocno pachnie chlorem — chodzi bowiem o prozaične pomieszczenie ubikacji ustępowej, enklawę swobodnego operowania ogniem i papierosem w łatwopalnej fabryce.

Indywidualności zaszywają się na czas wolny od wagi i wózka w szatni lub podziemnym tunelu, gdzie zapadają w drzemkę przybierając pozy przypominające skomplikowane ćwiczenia Yogi. Tych jest znacznie mniej. Majster, który musi przywoływać ludzi do porządku, przerywać senne marzenia, dbać o ciągłość pracy i beszać — wali jak w dym do „klubu”. Tam — w rzeczywistych oparach dymu i chloru — laje: „panie O, ja o panu wiem wszystko. Jak pan przychodzisz do fabryki odsypać, to ja dziękuję za taką zabawę. Jak pan tak pracujesz na swojej gospodarce, to krowa panu zdechnie. Jak pan tak się zabierasz do kobiety, to pana wyrzuci z łózka”.

Chyba żadna zmiana nie potrzebuje w równym stopniu obecności majstra, co owa „psia wachta”. Wewnętrzna dyscyplina rozluźnia się, nawet u doświadczonych, starszych robotników. Musi istnieć dodatkowy czynnik mobilizacji, perswazji, zagrożenia.

W „klubie” nocą dochodzi do absurdalnych zdrażeń. O byle co — w trakcie najwykleszej rozmowy. Na przykład, wybucha jadowity spór o grzyby: czy obrodziły latoś czy też nie. Albo najstarszy z wóziec przyzwany „Starym” usiadł na wiadrze, do którego zwykło się wyrzucać niedopałki papierosów — i wymiana zdań kończy się epitetami, aluzją do „chamów od widel” („Stary” jest przyjezdny, posiada niewielkie gospodarstwo w okolicy Andrzejowa).

Ale dla przekornego oka estety zmęczenie ciekawiej rzeźbi oglądane twarze. Przez „klub” przepływają wszyscy: brygadziei, obciążacze, smarownicy, mechanicy zajmujący się remontem maszyn, wóziec. Przychodzi milczący facet w zielonym kombiniezonie, ładując podobny do Artura Rubinsteina (podobieństwo wzmagają białe kosmyki bawelniane — przemysłowa, ośmiogodzinna siwizna). Pali tutaj rozmowny silacz o lwiej grzywie, zawsze usposobiony serdecznie do otoczenia, mrukiwie łagodzący spory... Przychodzi również Jasio — miglanc z zabójczym wąsem, król obiboków, który pod koniec tygodnia odszedł z fabryki, a nikt dokładnie nie wie, czy wzenił się w bogatą „gospodę” (tak tu mówią o gospodarstwie rolnym), czy też zamknął go za jakąś bójkę albo „skok”. Jasio był zresztą cholernie sympatyczny; udzielił mi bezinteresownie kilku pouczeń, wśród których poczesne miejsce zajmowało zdanie: „Ty jesteś nowy, to będą w ciebie orać, pamiętaj. Miej głowę na karku i nie daj się”.

4.

Stało się nieszczęście: popsułem maszynę. Ścisłej, spowodowałem jej postój na pewien czas, chyba na godzinę. Tak długo bowiem musiał majster z brygadzieją prostować pewien element prężności obróbkowej, zgity uderzeniem mojego wózka. Zawinił tutaj nie tylko brak rutyny nowego pracownika — również ograniczony refleks. Za dnia zdołałbym wózek zatrzymać w biegu. W krytycznym momencie nocy czulem tylko narastającą senność i wate w rękach. Nie zostalem „ochraniony”, przeprosilem przedk, w ciągu następnego dnia pozostalem po hali ze zdwojoną ostrożnością. Problem jednak pozostał. Tym bardziej, że spostrzegłem, jak rutynowany robotnik pomieszał w czasie „obrzędu” ważenia dwa różne gatunki przedzdy i wyspał je do tej sa-

Na przerwie odwiedzam aktorską kanytę. Dużo obcych, nieznanych jeszcze ludzi — a już moich kolegów. Witamy się uprzejmie, czasem zamieniamy kilka zdawkowych słów, czasem parę potocznych uprzejmości. Jakoś szybko nawiązuje się bliższy kontakt z uroczą czarownicą aktorką — Ottą Planerer i z jej mężem, Wolfgangiem Fleischmanem, reżyserem, który obecnie pracuje w Berlinie.

Do stołu podchodzi piękna jeszcze, czarna aktorka — Senta Esser. Wiedziałam, że w czasie okupacji pracowała w teatrze niemieckim w Krakowie, i że znano ją jako prawego i przyjaznego Polakom czlowieka. W teatrze krakowskim pracował wówczas jako maszynista teatralny młody chłopak, obecnie jeden z cenionych polskich aktorów. Senta Esser wiedziała, że młody czlowiek chce zostać aktorem, podsycała w nim te pragnienia oraz nadzieje, że koniec hitlerowskiej okupacji w Polsce jest już bliski. Aktor ten spotkał się po wojnie z Sentą Esser w NRD. Spotkanie było bardzo serdeczne.

Na przerwie odwiedzam aktorską kanytę. Dużo obcych, nieznanych jeszcze ludzi — a już moich kolegów. Witamy się uprzejmie, czasem zamieniamy kilka zdawkowych słów, czasem parę potocznych uprzejmości. Jakoś szybko nawiązuje się bliższy kontakt z uroczą czarownicą aktorką — Ottą Planerer i z jej mężem, Wolfgangiem Fleischmanem, reżyserem, który obecnie pracuje w Berlinie.

Do stołu podchodzi piękna jeszcze, czarna aktorka — Senta Esser. Wiedziałam, że w czasie okupacji pracowała w teatrze niemieckim w Krakowie, i że znano ją jako prawego i przyjaznego Polakom czlowieka. W teatrze krakowskim pracował wówczas jako maszynista teatralny młody chłopak, obecnie jeden z cenionych polskich aktorów. Senta Esser wiedziała, że młody czlowiek chce zostać aktorem, podsycała w nim te pragnienia oraz nadzieje, że koniec hitlerowskiej okupacji w Polsce jest już bliski. Aktor ten spotkał się po wojnie z Sentą Esser w NRD. Spotkanie było bardzo serdeczne.

Pani Esser pyta, czy mam ochotę na kieliszek koniaku. Mam ochotę, i

wstaje, żeby wyjść, bo już wiem, że w teatrze od frontu jest knajpa, a raczej przyzwoity lokal, dokąd wzdowie w czasie przerwy wyskakują na drinka. Ale chętnych na mały koniak jest więcej, i większość decyduje, że wypijemy w kanytce aktor skiej. Dopiero w tej chwili uświadomiłam sobie, że na półkach za bufetem stoi spora bateria dobrych alkoholi. Moskiewka, koniak, kirs... No cóż, co kraj, to obyczaj. U nas w teatrze można palić prawie wszędzie — w Niemczech prawie nigdzie. U nas w teatralnej kanytce nie ma nawet piwa — w Niemczech jest cała bateria win i wódek. Towarzystwo podchodzi do bufetu i prosi o jedną małą, albo o jedną głębszą... Można wypić i na próbie i na przedstawieniu — nie wolno się tylko upić.

Chyba dobrze mi zrobił ten mały koniak, bo jakoś jaśniej zaczynam patrzeć na otaczające mnie twarze, i jakoś intensywniej odbieram słowa i zdania budzące różne refleksje i różne skojarzenia. Uświadamiłam sobie jedno — że zaczyna się oto jakaś pasjonująca przygoda, bo przecież ostatecznie nie tak często zdarza się aktorowi pracować w obcojęzycznym teatrze.

mejskrzyni, a potem przebierał jej zawartość klnąc cicho pod nosem. (Ze ktoś mówi, poznaje się po ruchu warg — bo w przedziałni panuje nieustanny szum, huk i warkot, a istotne polecenia komunikuje się przy pomocy gestów. Głos ludzki jest tutaj bezsilny). Innemu, starszemu stażem ode mnie pracownikowi, wysypały się szpulki z przedzą na środku hali, a do dziś opowiadają, że gorsza katastrofa — na podwórzu — stała się udziałem doświadczonego robotnika, w czasie transportu skrzyń do magazynu. „Wtedy cały bruk był bielutki od szpułek — nadmieniał opowiadający. — Nikt nie przypuszczał, ile tego wiazi do takiej cholernej skrzyni”.

Przygnębienie, kłótlwość, totalna potrzeba snu, obniżenie refleksu, nadmierne zmęczenie — a zmiana nocna. Ot, problem.

Sięgam do opracowań fachowych: Gliszczyńska i Górka „Z zagadnień psychologii pracy”. Ujęcie syntetyczne:

„Długotrwałe ograniczanie snu na dobę poniżej zapotrzebowania organizmu, musi doprowadzić do wyczerpania, co niekorzystnie odbija się na samopoczuciu czlowieka i jego aktywności w pracy. Ludzie stale nie wyspani tracą równowagę i odporność życiową, energię, inicjatywę i humor — konstatują autorki i dodają: Drugim warunkiem, który musi być spełniony, aby organizm w ciągu doby w pełni wypoczął jest regularność snu. Nieuregulowany tryb życia, chodzenie spać o coraz to innej porze, odbija się szkodliwie na wszystkich procesach organizmu, zaburza ich prawidłowy przebieg i doprowadza czlowieka do coraz większego wyczerpania”.

5.

Kobiety są tutaj odrobinę podobne do... kangurów. To dlatego, że z przodu noszą płócienne torby wypełnione cewkami i muszą być zwinne, choć każdą przesłania jakby mgła własnego zmęczenia. Automatyzm ruchów — to coś, co utrzymuje je we względnej formie. Automatyzm i oszczędność.

Odliczając ustawowo zwolnione z obowiązku nocnej zmiany ciężarne i młodociane, można z miejsca wyróżnić dwie grupy pracownic: mniejszą, której „nocka” nie wadzi i większą, dla której stanowi koszar. Granicę podziału ustalają chyba trzy elementy: wiek, sytuacja rodzinna i stan cywilny.

A. M. jest panną, młodą, przystojną dziewczyną. Wyznaje szczerze: „Mnie tam noc nawet uradza. Kierownictwo jest bardziej wyrozumiałe, mniej goni do roboty niż w dzień. A potem prześpię się parę godzin w domu — mam dobrą mamę, która wszystko zrobi... I zostaje sporo czasu na koleżanki, kino, na spacer...”.

„Gorzej, gdy jest się właśnie ową „dobrą mamą” — a takich jest przewaga: mężatki i dzieciacty. Po zmianie przychodzą zakupy, potem dzieciaki trzeba wysłać do szkoły, ugotować obiad, zrobić porządek w domu... W rezultacie odpoczynek zamienia się w serię dorywczych, gorączkowych drzemek. Zawinił tu również tradycyjny układ rodzinny. Obecność kobiety w domu określa jej obowiązki. Gdy pani domu jest w pracy przed lub po południu, wówczas nie ma problemu. Jeśli natomiast widzi się ją przez cały boży dzień, wówczas wszystkie kłopoty rodzinne, wszystkie porządki, garnki, zakupy należą do zmęczonej „psiej wachty” robotnicy. No, ale ktoś by to w końcu załatwił?”

Znacznie gorsza sytuacja stała się udziałem robotnic pozamiejskowych — a tych jest w przedsiębiorstwie kilkadziesiąt procent. Dochodzą bowiem jeszcze dojazdy.

6.

Kilka słów o solidarności robotniczej.

Wózek nie jest urządzeniem łatwym — wbrew pozorom. Trzeba wyważyć odpowiednio środek ciężkości skrzyń z przedzą, wożonych po dwie, jedna na drodze — należy pamiętać o umiejętnym smarowaniu kół, o zdradliwych progach i wzniesieniach drogi przedziałni — magazynu... To wszystko jest sprawą rutynową. Zanim się jej nabierze, nowicjusz tyra jak osioł.

Któregoś dnia (przepraszam, nocy) majster M. zwołał wszystkich wóziec i wygłosił krótkie przemówienie: „Macie wśród siebie nowego, a żaden nie pomoże, nie udzieli rady — każdy chciałby jak najwięcej zrzucić na niego pracy”. Mile polechtało mnie przemówienie majstra, ale też trudno było mi dopatrzeć się złej woli wśród kolegów. Każdy z nich na swój sposób stawiał pierwsze kroki w fabryce, a noc nie usposabia do życzliwości.

Znalazł się jednak czlowiek, który od samego początku surowo, trochę opryskliwie udzielał mi porad. Był nim — jak się okazało — brygadzieja — obciążacz, szpakowaty, krępy i bardzo silny facet, znający się właściwie na wszystkim. Potem korzystałem z życzliwości, z rubasznych uwag wagowego magazynu, dzwigiowych obsługujących windy, aż pod koniec tygodnia praca stała się lżejsza. „Nie na siłę — lecz sposobem” — stare, robotnicze powiedzonko zdało egzamin.

Gdy w sobotę mój szpakowaty cicerone „ochraniał” mnie zdrowo, krzycząc: „gdzie te szpulki, ja muszę mieć zaraz szpulki, bo maszyny staną, do cholery!” — wiedziałem, że zdałem już pewien egzamin, że na mnie jakoś liczą i z moimi siłami się liczą w czasie trudnej „psiej wachty”.

ROBERT GLUTH

Szwagrowie

Przed restauracją stał korpulentny mężczyzna w rozpiętej kolorowej koszuli i uważnie patrzył na zbliżającego się chodnikiem szcuplego, prawie młodzieńczo wyglądającego przechodnia w jasnej, lekko prążkowanej marynarce i ciemnych spodniach. Gdy ten zwrócił się ze stojącym przed otwartymi drzwiami, usłyszał:

— Ej, szwagier, pozwól na chwileczkę!
— Pan mówi do mnie?

— A do kogo? Do sieniei dali?

Na chodniku rzeczywiście nikogo więcej nie było.

— To chyba nieporozumienie. Nie znam pana!

— Ale ja ciebie, szwagier, dobrze za to znam! Wejdz do środka, napijemy się!

Szcuplej nieco bezradnie rozejrzawszy się, oceniając sytuację, korpulentny stanął za nim od strony jezdnii. Choć ręce trzymał w kieszeniach spodni, to szcuplej poczuł się jakby wpychany do wnętrza.

Było ciemnowo, ale jeszcze nie zapalono świateł. Przy bufecie sterczało paru klientów, przy stolikach nie było jednak nikogo. Szcuplej zdjął z głowy zielonkawą kapelusik tyrolski, odsłaniając bujną blond czuprynę.

— Siadaj! — korpulentny wskazał na krzesło przy stoliku znajdującym się pod oknem.

— Ależ, proszę pana, ja nie piję!

— Dziś moja rocznica, napijesz się... Wiśniówka czy czysta?

Szcuplej, chcąc zyskać na czasie, ze szczególną starannością powiesił kapelusik na pobliskim wieszaku, złotą tyczcę o przysrubowanych u góry pałkowato wygiętych prętach.

— Proszę pana, ja się spieszę!

— Do Zosi!

— Skąd pan wie?! Co to zresztą pana obchodzi!

— Nie bądź taki nerwowy, szwagierku! Tu sami swoi! — korpulentny zatchył ręką króciutkie półkoła przed sobą, wskazując ni to na kelnera, ziewającego w kącie naprzeciwko drzwi, ni to na tych, co stali przy bufecie.

Na skinięciu korpulentnego zjawiała się na stoliku karafka z wódką, sałatka z pomidorów i ogórków.

— Proszę pana, ja naprawdę nie wiem, o co chodzi...

— Povolutku! Wypijemy, wszystkiego się dowiesz. No, śmiało, do dna!

— Ależ mnie wódka szkodzi!

— Mnie też, a jakoś żyję!

— Korpulentny, niby rozlaży ale o czujnych oczach, znowu napełnił szklaneczkę z mętnego szkła.

— No to pod rocznicę, szwagrze!

Szcuplej rozglądał się ukradkiem po

wnętrzu, niestety, nikt nimi nie interesował się, nie wchodził też nowi klienci. Więc tylko westchnął i, tym razem trochę zwawiej, opróżnił szklaneczkę.

— Może jednak zechce mi pan wreszcie wytłumaczyć, o co chodzi? — blondyn wrzucił ramionami aż zmarszczyła się marynarka w okolicy obojczyków.

— Boże, Boże! Sam wtedy Zosię do was przywoziłem. Skąd mogłem wiedzieć, że tam będzie taki gnojek jak ty!

— Coś sobie przypominam, ślepa kiszka...

Światłówki napełniły się połyskliwą bielą, ktoś wszedł czy też wyszedł, gdyż szcupleń klamka u drzwi, korpulentny zaś jakby nie słyszał uwagi blondyna:

— Gdybym wiedział, to bym ją zawiózł do innego szpitala, do innego miasta. Nie żałowałbym forsy!

— Śmieszne, przecież tego nie warto nawet nazywać operacją!

— Boże, gdybym wiedział...

— Przepraszam, ale niech mi jednak pan powie, z kim rozmawiam? Brat? Mąż jej siostry?

Korpulentny przeciągnął ręką po szrokiej twarzy od czoła poprzez krzacaste brwi i znowu napełnił szklaneczkę. Gdy wypili, zupełnie innym tonem zapytał:

— Zenisz się z nią?

— Proszę pana, to nie takie proste, ona jest ode mnie starsza, a poza tym gdyby każdą przygodę kończyć małżeństwem...

— Toś ty taki, szwagierku! — korpulentny nieco dźwignął się z krzesła i krótkie ręce wyciągnął przed siebie, jakby z zamiarem chwycenia blondyna za ramiona, aby nim w zapamiętaniu potrząsnąć. Ale nagle skrócił gest, pozostawiając go gwałtowności, i sięgnął po leżącą na stoliku paczkę z papierosami. Zapalił i mówił właściwie do siebie:

— Gdy Zosia wyszła ze szpitala, to jeszcze ze dwa czy trzy razy umówiła się ze mną, potem przestała mieć czas, aż zobaczyłem was, jak gruchacie w kawiarni...

— Aha! Teraz to już chyba jestem w domu: odpalony amant! No cóż...

— Milcz gnojku! To rok temu, dokładnie rok temu zobaczyłem was po raz pierwszy w kawiarni. Już rok, jak z nią nie rozmawiałem! Napijmy się! Wypili.

— Jak tam Zosia?

— A nic. Dobrze się czuje, lubi kino i wystawy z obuwiem! — Może wypita wódka dodała blondynowi kurażu, gdyż zapytał z poufałą ironią: — Pozdrowić ją od pana?

Korpulentny jeszcze raz szybko napełnił kieliszkę, wskazał na nie tylko poruszeniem głowy i oczami. Wpili. W ich ustach zachrząściły plasterki ogórka.

— Nie, lepiej nic Zosi nie mów! Słyszysz, gnojku, nic jej nie mów! Gębę na kłódkę! — korpulentny, zmachawszy kraciastą chustką pot z czoła, podniósł się od stolika, bylejako podał rękę blondy-



Fot. Edward Piesow (ZSRR)

nowi, potem sięgnął do tylnej kieszeni spodni po portfel i ruszył w stronę kelnera. Zrobił jednak tylko dwa albo trzy kroki, zatrzymał się i odwrócił. Stał zwiot czają, jakby wyzbyty mięśni, czoło na no we upstrzyły kropelki potu: — Panie doktorze, niech pan Zosi za bardzo nie oszukuje! Ja pana proszę, bardzo pana proszę, rozumie pan?

Blondyn miał już na głowie swój tyrolski kapelusik, a rękę trzymał na okrągłej ręczce klamki od drzwi, dzięki

czemu mógł w każdym mgnieniu znaleźć się na ulicy. Uśmiechnął się, ale z grymasem:

— Rozumiem, ty... sentymentalny gnojku!

Odzyskując prężność wszystkich mięśni, korpulentny skoczył ku drzwiom.

(Z tomu opowiadań „Odzyskiwanie przeszłości”, który ukazuje się nakł. Wydawnictwa Łódzkiego).

LAUREACI NOBLA

Nelly Sachs

Tegoroczna laureatka nagrody Nobla, Nelly Sachs, nie jest wprawdzie w Polsce znana, lecz nie znaczy to wcale, by nie wiadano o niej w Europie. Nelly Sachs, urodzona 10 grudnia 1891 roku w Berlinie, liczy obecnie 75 lat i mieszka stale w Sztokholmie. Chowana w domu zamożnych rodziców, otrzymała staranne wykształcenie. Początkowo pragnęła zostać tancerką. Wiersze zaczęła pisać w 17 roku swego życia, naśladowując wzory poetki romantycznej, ale nie wyszła w nich poza konwencjonalizm treści i formy. Nie udawały się jej również sztuki, przeznaczone dla teatrów lalkowych. W r. 1921 ogłosiła pierwszy zbiór swoich utworów pt. „Legendy i opowiadania”, dedykowany Selmie Lagerlöf. Jednakże i ten tom nie przyniósł jej uznania. Krytycy ganili „staromodną” formę utworów Nelly Sachs.

Po przewrocie hitlerowskim nastąpiły dla niej i jej

żydowskich rodziców ciężkie czasy. Musieli się ukrywać, aż w r. 1938 — dzięki interwencji i pomocy Selmy Lagerlöf, z którą Nelly Sachs korespondowała od 15 roku swego życia — udało im się wyjechać do Sztokholmu, gdzie laureatka dotąd przebywa, pisząc wiersze w języku niemieckim i tłumacząc z języka szwedzkiego. Jej dorobek poetycki, głównie powojenny, składa się z następujących tomów: „W mieszkaniach śmierci” (1947), „Zaciemnienie gwiazd” (1949), „Nikt nie wie, co dalej” (1957), „Ucieczka i przemiana” (1959), „Wyprawa w czystą dal” (1961) i „Znaki na piasku” (1962). Cecha naczelna, cecha dominująca tych wierszy jest poczucie zagrożenia i osamotnienia człowieka, co niewątpliwie wiąże się z losem osobistym autorki i losem narodu żydowskiego. W jednym z wywiadów prasowych Nelly Sachs powiedziała: „Pisanie jest moim niemym krzykiem, pisałam jedynie dlatego, ponieważ musiałam się uwolnić”. Jednakże poezja jej nie jest oskarżeniem ludzi i panujących stosunków. „Nie mam nic do przebaczenia, jestem

tylko człowiekiem jak inni” — napisał przy sposobności. Podobnie jak w opowiadaniach tej kolegi-współlaureata i w jej poezji dochodzą do głosu motywy ze Starego Testamentu, odwieczna tęsknota, odwieczny smutek i żal, wyrażane w formach nowoczesnych, niczym nie przypominające jej dawnych, młodzieńczych wierszy. Oto jeden z jej charakterystycznych utworów pt. „W ucieczce” (nadał je we własnym tłumaczeniu):

W czas ucieczki
coż za wielkie przyjecie
po drodze —
Otulona
chustką wiatru
słopy w modlitwie piasku
który nigdy nie powie
amen
gdyż musi
uderzać skrzydłem w niebo
i dalej —
Chory motyl
dowie się wnet o morzu —
Ten kamień
z napisem muchy
oddal się w moje ręce —
Zamiast ojezyny
mam świat który się
zmienia —

JAN KOPROWSKI

S. J. Agnon

„Najmłodszego” laureata nagrody Nobla — Samuela Józefa Agnona — tłumaczono na kilkanaście języków europejskich i wschodnich, ale najbardziej nawet wierny przekład potrafi tylko w przybliżeniu odtworzyć niepowtarzalny czar jego prozy, oscylującej między bogactwem słownictwa i siłą poetycką Biblii, a talmudyczną zwięzłością sformułowań i bystrością spojrzenia na świat. Jego mistrzowski styl, barwność opisów, rysunek postaci, umiejętność operowania dialogiem, facecj i przypowieściami, wreszcie ludzoność w najszerszym tego słowa znaczeniu — stawiają go w jednym rzędzie z takimi odnośnikami literatury hebrajskiej jak Jehuda Halewi czy Chaim Nachman Białik.

Pisarz, którego prawdziwe nazwisko brzmiało „Czaczek”, urodził się w 1888 roku w Buczaczu, w owym historycznym miasteczku nad Strypą, z którego wywodzili

swój rodowód genialny twórca psychoanalizy Sigmund Freud i sławny orientalista prof. Dawid Henryk Müller. A chociaż Agnon w dwudziestym roku życia przeniósł się na stale do Jerozolimy, zachował jednak we wdzięcznej pamięci swoją „rodziinną kolebkę”, którą darzy najszczerszym sentymentem, uwieczniając jej kręte, kocimi łbami brukowane uliczki w swych najpiękniejszych nowelach i opowieściach. Znajdujemy tam malownicze wzgórce z ruinami zamczyska, pamiętającego czasy króla Jana Sobieskiego, ratusz Potockich przyozdobiony rzeźbami prac herkulesowych, sielsko-anielski pejzaż okolicznych pól, lasów i zagajników. I ludzi, których mentalność wciąż jeszcze zasnuwają opary wiekowej tradycji, z którą tak trudno się rozstać, a która wcześniej czy później leć musi w gruzach. Agnon w latach trzydziestych po raz pierwszy opuszcza Jerozolimę, aby odbyć pielgrzymkę do ojczystego miasteczka. Dostrzega tam całą beznadziejność i szaryznię wegetacji zubożonych mas żydowskich i daje temu wyraz w powieści „Jako gość na jedną noc”.

Potomek dynastii rabinackiej ukochał niewątpliwie tradycję swego narodu. Wzorem uczonych przodków po dziś dzień pisze stojąc przed pulpitem, w młodości posługując się podobno gęsim piórem. Nic dziwnego, że przeżył najgłębiej zagładę żydostwa europejskiego, przeżył — nie mniej boleśnie — zanik wiekowych tradycji, które zachowały się najdłużej w skupiskach żydowskich na Wschodzie. U Agnona tematyka martyrologii zajebrła się stale o bezpowrotną, a jakże ukochaną przez autora przeszłość. Toteż do czołowych osiągnięć pisarza należą takie utwory, jak „Przysięga”, „Wzora i przedwzora” oraz urzekający swą kolorystyką, zasnuwany mgiełką rzetwonych wspomnień, owiany najprawdziwszym humanizmem tom opowiadań „W sercu młcz”.

Bez dwóch zdań: nagroda Nobla przypada w udziale czołowemu przedstawicielowi współczesnej literatury hebrajskiej — jednemu z mistrzów prozy w skali światowej.

HORACY SAFRIN



Z. Szczański w inscenizacji „Schron” Kafki

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

W TYGLU „Retorty”

Czy wypada zaczynać od osobistych wznach? Może to w złym tonie, a jednak muszę na wstępie ujawnić, że do teatrów studenckich podchodzę z reguły z pewną dozą nieufności. To znaczy, że daleki jestem od postawy akceptującej wszystko, co się spod tego znaku wywodzi.

Dzieje się tak może przez przekorę wobec atmosfery, jaką u nas lubi się tworzyć wokół teatrów studenckich. Jeszcze nie przebrzmiały owe chóry apologetów wychwalających unisono każdy grymas, każde nie-rzadko wtórne zjawisko artystyczne, byle tylko oznaczone tą etykietą.

Doceniam ferment intelektualny, jaki wnieśli w nasze życie teatralne ludzie zgrupowani wokół warszawskiego STS-u, ale nie rozumiem celu wprowadzenia na te rzekomo studencką scenę czołowych aktorów zawodowych. Czy można tu właściwie mówić o teatrze studenckim?

Na tym tle bardzo pozytywnie wyróżniają się łódzkie teatry studenckie, posiadające już przeszło dziesięcioletnią tradycję. Tu nie sięgano się na ogół do profesjonalistów, albo korzystało się z ich usług z umiarem (np. współpraca reżyserska Janusza Kłosińskiego z „Pstragiem”). Dominował wśród autorów, reżyserów i wykonawców element autentycznie studencki.

Nie jest moim zamiarem kreślenie rysu historycznego łódzkich scen studenckich, choć temat ten prosi się o obszerniejsze opracowanie. Warto jednak przypomnieć, że choć nie podpięli się wybitnymi aktorami, odegrali w krajowym i międzynarodowym ruchu studenckim chlubną rolę. Sędziwy STS „Pstrag”, którego old-boys zbliżają się już do wieku średniego i godny następcą jego — „Cytryna”, mają na swym koncie wiele sukcesów w kraju i za granicą.

Na przełomie roku 1964 i 65 wystartował najmłodszy w Łodzi Studencki Teatr „Retorta” przy Radzie Okręgowej ZSP. W programie do swej pierwszej premiery „Skok za horyzont” kierownik artystyczny teatru Zdzisław Hejduka i kierownik literacki Ryszard Bigosiński pisali:

„W naszym symbolicznym tyglu chcemy warzyć treści najbardziej istotne i poddawać licznym analizom postawy społeczno-polityczne społeczeństw z naszego kręgu. To na pewno odpowiedzialny manifest i w chwili

obecnej antycypowany być może ze zbytnim optymizmem, czas — surowy korektor pokaże, czy te przagnienia sprawdzą się w działaniu”.

„Skok za horyzont” według tekstu Zdzisława Hejduki był rodzajem pantomimy, która pod postacią zabawy dzieci, poruszała stale aktualny problem władzy. Przedstawienie poddawało krytyce indyferentne uleganie każdej władzy państwowej i nieangażowanie się intelektualistów w życie społeczno-polityczne, zjawisko nazwane przez J. Bendę postawą klerka.

A więc z miejsca ambitne nawiązanie do najpoważniejszych zagadnień współczesności. Zamierzeniu ideowemu podporządkowano dyscyplinę formalną spektaklu, 12 osób grało na zasadzie ruchu zbiorowego. Błądzące po scenie światła reflektorów wybierały te epizody, na których realizatorzy w danym momencie chcieli skupić uwagę widza. Przechodząc kolejno do następnych epizodów, uzyskiwano efekt zbliżony do montażu filmowego.

Druga premiera „Retorty” odbyła się w maju br. Tym razem sięgnięto po tekst literacki, adaptując opowiadanie Franza Kafki „Schron”.

Pisarstwo Kafki, genialnego wizjonera, który wyprzedził o około 20 lat gorzkie doświadczenia ludzkości związane z II wojną światową, dając tragiczny obraz samotności człowieka w epoce pieców krematoryjnych i zmasowanego okrucieństwa. Już sam wybór utworu świadczy więc o tym, że młody zespół „Retorty” bynajmniej nie rezygnuje z kontynuowania ambitnej, zaangażowanej we współczesność linii programowej.

„Schron” wystawiony został w reżyserii Z. Hejduki i A. Czernego. Scenografię zaprojektował R. Bigosiński, zaś film użyty do projekcji, stanowiącej integralną część spektaklu, wykonał T. Wilkosz i G. Świetlikowski.

Całość zadań aktorskich („Schron” zaadaptowany został jako monodram) wziął na siebie student Wydziału Aktorskiego PWSTIF im. Schillera — Z. Szczański. Z tej trudnej roli wywiązał się bardzo dobrze, różniąc środki aktorskie i utrzymując publiczność w napięciu przez cały czas trwania spektaklu.

„Retorta” nie ustaje w wysiłkach. Mimo trudności organizacyjnych i lokalowych w przygotowaniu znajduje się trzeci program teatru, w którym zainscenizowany zostanie esej filozoficzny greckiego pisarza Kostasa Varnalisa „Prawdziwa Obrona Sokratesa”. Premiera planowana jest na przełom roku 1966 i 1967.

Pozostaje tylko życzyć członkom zespołu studenckiego wytrwałości i dalszych sukcesów na drodze, którą w swoim wystąpieniu programowym tak określił:

„Naszą propozycją jest aktywny udział w rozwoju rzeczywistości, której kierunek samą przeciw determinujemy a wszelkie zmiany wypaczeń godzą jedynie w nas samych”.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Strip-tease w naftalinie

(ARTYKUŁ DYSKUSYJNY)

Ze szczególnym upodobaniem studiuję programy teatralne z których można się dowiedzieć nie tylko kto kogo będzie grał, ale i wielu innych ciekawych rzeczy. Nie zawiodła mnie i lektura „Fajerwerku”^{*)}. Przede wszystkim dowiedziałam się, że nad tą operetką pracowało wiele osób. Na podstawie komedii E. Sauttera libretto napisali E. Charell, J. Amstein i R. Gilbert. Na polski użytek zaadaptowali je J. Słowinski i Z. Skowronski. Mamy więc już sześciu autorów tekstu, co człowiekowi złośliwemu kojarzy się zaraz z ludową mądrością: gdzie kucharek sześć... Muzyka też nie jest dziełem jednej osoby. Do komedii muzycznej, jaką był w pierwotnej wersji „Fajerwerk” Burkhard napisał muzykę na dwa fortepiany. Czy ją potem instrumentował sam — nie wiem. W każdym razie muzykę baletową napisał kompozytor polski St. Renz, ponieważ cały akt drugi, którego akcja toczy się w cyrku, jest dopisany.

W efekcie tych zabiegów, z bezpretensjonalnej, kameralnej w zamyśle komedijki muzycznej, powstała prawie trzygodzinna operetka, z której oryginalnie pozostał tylko tytuł, efektownie zapowiadający jakis barwny wybuch — należy się domyślać — dowcipu, humoru, dobrej zabawy. A tymczasem w gruncie rzeczy całość jest nudnawa, w pierwszym akcie nie się właściwie nie dzieje, drugi ożywia trochę balet, w trzecim powraca atmosfera z aktu pierwszego. Watła fabuła nie wytrzymała kunsztownej rozbudowy. Drobniomieszczańska rodzinka nie jest śmieszna, arie o szaszłykach, schabach i befsztykach nie bawią. Z humorem całkiem słabo, dowcipy raczej niewybredne, w stylu (cytuje z pamięci): „Ależ on jej zawraca głowę!”, „Ach, proszę pani, żeby tu chodziło o głowę...”. Najzabawniejszą postacią ma być wuj, który kaszlem nadrabia niedobory męskich walorów, a ciocia, ku uciesze publiczności, drwi wobec całej rodziny z nieszczęścia męża.

Zaprawdę, wielka musi być pustka w repertuarze operetkowym, jeśli aż tylu zabiegów adaptatorskich dokonuje się na materiale tak wątlym, wcale na to nie zasługującym.

Przyznać muszę, że po tym co napisałam, czuję pewne zażenowanie wobec realizatorów i wykonawców przedstawienia łódzkiego. Nie po raz pierwszy zresztą zdarza mi się przy omawianiu pozycji Teatru Muzycznego. „Fajerwerk” jest przygotowany starannie w każdym szczególe, zarówno od strony muzyczno-wokalnej, jak i reżyserskiej, aktorskiej i choreograficznej (notabene choreografia znacznie się w Operetce poprawiła, widać już ciekawsze układy, lepsze wykonawstwo) zespół zrobił co mógł, reżyser również (mam do niego tylko jedną pretensję — o niewłaściwe obsadzenie St. Kowalczyk-Muszyńskiej. Jak się ma taka aktorka, to szkoda z niej robić starą ciotkę z wasami), ale libretto uratować nie mogli. Fajerwerk nie wypalił.

I tu chcę przejść do sprawy zasadniczej, którą jest głównym celem niniejszych rozważań — do repertuaru Teatru Muzycznego. Pozwolę sobie sięgnąć znów do programu „Fajerwerku”. W artykule wstępnym, opublikowanym z okazji rozpoczynającego się sezonu, dyrekcja z uzasadnioną dumą donosi, że w 1965 r. zaszło na widowni teatru ćwierć miliona widzów i że jest to najwyższa frekwencja teatralna zanotowana w kraju. Jest to chyba powód tyle do dumy co i do troski. Bo im szerszy zasięg oddziaływania teatru, tym większe zobowiązania, tym większa odpowiedzialność za to co się pokazuje tej szerokiej, społecznie zróżnicowanej publiczności. I tym większa szansa, by upodobania tej publiczności, czasem jeszcze z teatrem mało obytej czasem nie mającej wyrobionego gustu, podnosić na wyższy poziom. Tak więc Teatr Muzyczny ma w tej

dziedzinie największą szansę wśród teatrów w kraju, bo ma najwyższą frekwencję. Czy szansę tę wykorzystuje?

Kierownictwo teatru wie, że jego publiczność najbardziej lubi tradycyjną operetkę liryczno-sentymentalną. Kierownictwo wie również, że wymaga się dziś od teatru repertuaru współczesnego, nowych treści, nowych form. Jest i spora część publiczności, która chciałaby te nowe formy i treści na scenie oglądać. Tak więc kierownictwo Teatru Muzycznego (który wciąż — nie tylko z przyzwyczajenia — na zrywamy jeszcze Operetką), zapowiadając współczesne pozycje w planie repertuarowym (Cole Portera „Fantastyczny rejs” i Domenico Modugno „Rinaldo in campo”) wyraża obawę, że wystawiając te pozycje, narazi widza na pewnego rodzaju wstrząs. I w formie przeprosin pisze: „Ze swej strony postaramy się zrobić wszystko, aby ukazać je w atrakcyjnej pociągającej formie scenicznej, naszych widzów prosimy jednak o trochę dobrej woli, prosimy, aby nie sugerowali się przedwcześnie, iż na afiszu nie ma dobrze znanych nazwisk Straussa czy Lehara, zechcieli przyjdź do teatru i sprawdzić, że to też dobra, znakomita muzyka. Ty, że bliższa naszym czasom”.

Nie wdając się w rozstrząsanie innych wątpliwości i nieporozumień, jakie budzi ta wypowiedź, wyjaśnijmy sobie wreszcie jedno podstawowe, polegające na niewłaściwym rozumieniu słowa „współczesny”. „Fajerwerk” został napisany w 1950 r., a jest staroświecki i grzeszy wadami starych i ośmieszonych operetek. Podobnie było z „Sewastopolskim walcem”, który został napisany współcześnie, a miał te same wady. Napisany współcześnie nie znaczy współczesny, a tym bardziej nowoczesny. A przecież decyduje właśnie odczytanie utworu, interpretacja, kształt sceniczny jaki mu się nada. W gruncie rzeczy na przestrzeni kilku ostatnich premier najnowocześniejsza była w Teatrze Muzycznym — o ironio — „Piękna Helena”.

Kierownictwo teatru przeproszażając „swoją publiczność” za to, że na afiszach nie będzie Lehara, a będzie Porter czy Modugno zapomina o paru rzeczach. A przede wszyst-

kim o tym, że zmieniają się gusty publiczności, kształtowane na wielu odcinkach życia kulturalnego, między innymi przez środki tak masowego przekazu, jak film i telewizyjny. Ze ponadto zmienia się sama publiczność. Ze dorasta młodzież (ta z wyjątkiem — jest jej dużo), która nie ma i nie będzie miała zrozumienia dla tradycyjnej operetki, bo ma inne poczucie humoru, inną romantykę, ba, nawet na innej muzyce wykształcone ucho. Ze już — śmieiem podejrzewać — dzisiaj więcej jej mówi nazwisko Modugno niż Lehar.

Ale nad Teatrem Muzycznym gromadzą się jeszcze inne chmury. Niedługo zacznie pracować Teatr Wielki, który w repertuarze swym zapowiada, obok oper, również ambitniejsze i trudniejsze muzycznie pozycje operetkowe (co jest zresztą praktykowane na wszytkich scenach operowych świata). Z drugiej strony (to już zjawisko, nie tylko łódzkie) teatry dramatyczne coraz częściej sięgają po komedie muzyczne i grają je z dużym powodzeniem. Z łódzkich wymienię tu tylko „Piosenka prawdę ci powie”, „My fair lady” czy „Taka noc nie powtórzy się więcej”. Teatry dramatyczne wykazują groźną dla operetki inwencję w tej dziedzinie. Przegląd repertuaru teatrów warszawskich może tu być pouczającą lekturą. Oto Teatr Powszechny wystąpił z „Weselem Figara” z muzyką specjalnie zamówioną u Kurylewicza. Teatr Narodowy gra „Nowego don Kiszota” Fredry z muzyką Moniuszki. Dwa przeurocze przedstawienia, bardzo dowcipne, zabawne, bardzo nowoczesne, chociaż ich autorzy bardzo dawno nie żyją. W dodatku „Don Kiszot” — proszę posłuchać jak przygotowany muzycznie!

Tradycyjna nomenklatura gatunków scenicznych zaciera się, zaciera się granice między kompetencjami poszczególnych teatrów. W tej sytuacji wygrywa kto mocniejszy. Kto silniejszy, może okazać się w ogóle niepotrzebny, zastąpi go inni. Nie wiem czy z tych wszystkich niebezpieczeństw zdaje sobie sprawę kierownictwo artystyczne Teatru Muzycznego. Ale jeśli nie unowocześni ono swej sceny, nie wykaże inwencji i inspiracji twórczej w doborze repertuaru, jego adaptacji i interpretacji, to stanie się enklawa staroświeczysty. I nie może tu żaden strip-tease, bo będzie to strip-tease w naftalinie.

*) „Fajerwerk” — reżyseria i inscenizacja: Tadeusz Cygler, kierownictwo muzyczne: Olgierd Straszewski, choreografia — Stanisław Miszczyk, scenografia: Jan Marcin Szancer.



Hanna Bielanka, Jerzy Sidorowicz, Janusz Duński i Sergiusz Wąsowicz w „Fajerwerku”.

Fot. F. Myszkowski

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



André Breton zwany papieżem surrealizmu

W HOLDZIE DLA ZMARLEGO PISARZA

Eugène Ionesco na wiadomość o śmierci André Bretona, oświadczył: „Uważam go za równie wielkiego, co Einstein, Freud, Jung, Kafka, czyli traktuję go jako jednego z twórców myśli współczes-

nej. Wszyscy odnieśliśmy korzyść z jego dzieł. Jest zdumiewające, że ten, który głosił irracjonalizm był człowiekiem o najbardziej jasnym umyśle, jaki znam. Odkrył w poezji trzeci czynnik — rozum”.
Liczni pisarze i krytycy wyrazili swój hold i uznali dla zmarłego teoretyka surrealizmu.

ELSA TRIOLET UKOŃCZYŁA 70 LAT

Elsa Triolet, znana pisarka, urodziła się w Moskwie w roku 1896.



„Kochankowie z Avignonu” i „Biały koń”. Otrzymała nagrodę Goncourtów za rok 1944 za zbiór opowiadań. Po szeregu powieści wydanych po wojnie, jak „Nikt mnie nie kocha”, „Inspektor ruin”, „Rudy koń” pisze cykl powieściowy „Era nylonu”, z którego najbardziej znanym dziełem jest powieść pt. „Róża na kredyt”.

Pisarstwo Elsy Triolet charakteryzuje wysoka ideowość, umiowanie po koju i postępu, walka o realizację najszybszych idealnych ludzkości.
W siedemdziesiątą rocznicę urodzin Elsa Triolet otrzymała od Związku Pisarzy Radzieckich telegram z najsłodszych słówi życzeniami. W Moskwie została urzędowo wystawia jej książek.

CO TO JEST FANTASTYKA?

Za namową Gorkiego pisze swe pierwsze utwory literackie. W roku 1923 poznaje Aragona i wkrótce zostaje jego żoną. W dziesięć lat potem wydała swa pierwsza książka w języku francuskim pt. „Dobry wieczór, Tereso”. W czasie okupacji Elsa Triolet jest aktywna działaczka Ruchu Oporu. Doświadczenia i przeżycia lat wojny znajdują swój wyraz w jej zbiorach opowiadań takich jak „Tysiąc

W związku z wydaniem ostatnio we Francji dwóch książek a mianowicie „Antologii fantastyki”, której autorem jest Roger Caillois i „Antologii poezji fantastycznej”, wydanej przez Henri Parisota, wyloniła się kwestia, co właściwie ma być fantastyką i czy jej niezbędnym atrybutem jest groza. Antologia Rogera Cailloisa jest poświęcona bałkom, zaś Henri Parisot doko-

nał wyboru poezji autorów od Williama Blake do Henri Michaux, nazywając ich poetami wizji.

Obydwa autorzy wzięli z odmiennych źródeł przy dokonywaniu wyboru do swoich antologii. Roger Caillois uważa, że dzieło uważane za fantastyczne, powinno wywoływać wrażenie grozy, natomiast Henri Parisot twierdzi, że fantastyka bynajmniej nie jest synonimem strachu. I tak np. liczne bałki Hoffmanna są nawet zabawne, choć niewątpliwie należą do dziedziny fantastyki. „Kruk” Edgara Poe jest ponury, ale nie przerażający.

Czy wobec tego fantastyka i nadrealizm są



czymś podobnym lub tym samym? Tak — odpowiada Henri Parisot — poezja fantastyczna jest surrealistyczna lub presurrealistyczna.

Dłatego w antologii Parisota znalazły się m. in. utwory takich poetów jak Breton, Eluard, Char, Péret i Michaux.

OCZY KATARZYNY II NA CZAPCE PUGACZOWA

Jak wiadomo Jemielian J. Pugaczow (ok. 1742—1775), doński Kozak,



był przywódca chiłoskiego powstania w Rosji w latach 1773—75 za panowania Katarzyny II. Po stłumieniu powstania został stracony. Zdjęcie, które zamieszczamy, jest reprodukcją portretu carycy Katarzyny II, na którym został namalowany portret Pugaczowa. Ilustracja pochodzi z książki wydanej ostatnio we Francji (wyd. Hachette) w serii Génies et Réalités. Jest to dzieło kilku autorów poświęconych biografii Katarzyny II.

PIĘCIODOLAROWY RAJ NA FILMIE

LSD — to skrót nazwy związku chemicznego, narkotyku o którym kilka miesięcy temu głośno było na całym świecie. Łatwy do wyprodukowania, sprzedawany był na Zachodzie niemal jawnie po 5 dolarów za porcję, która wystarczała, aby przeżyć chwilę narkotycznego oszaleńca, mieć fantastyczne kolorowe wizje i surrealistyczne sny. Narkotykiem zyskał nazwę „Pięciodolarowego raj” i uchodził za zupełnie nieszkodliwy.

Niestety okazało się, że skutki zażywania LSD mogą być groźne. Jedni popadali w obłąd, inni w narkotycznym upojeniu popełniali nawet morderstwa. Obecnie LSD i wzięcie po jego zażyciu stała się tematem filmowym. I tak np. na XXI festiwalu filmowym w Wenecji wyświetlony był amerykański film Conra da Rooksa „Chappaqua”, którego tematem są halucynacje po LSD. Amerykański producent filmowy H. A. Steinman za inwestował milion dolarów w realizację filmu pt. „Halucynacje”. Scenariusz do filmu napisał Edward Mann. Akcja wywodzi się z rzeczywistych wydarzeń: zwolnieniu z Uniwersytetu Harvardzkiego profesora, który zbyt lekkomyślnie przeprowadził z studentami eksperymenty nad psychologicznymi skutkami zażywania LSD oraz w padek kiedy pewien młody człowiek po zażyciu narkotyku zabił przypadkowego przechodnia. Prócz tego w Ameryce nakrecone będą jeszcze trzy filmy o podobnym temacie. We Włoszech zaś reżyser Giuseppe Scoteze przygotowuje film pt. „LSD — pięciodolarowy raj”. Partie reportażowe filmu będą czarno-białe, natomiast wizje narkomanów przedstawione zostaną w żywych kolorach.

Niektórzy twierdzą, że jego złomek nakreśli już podobny film „Julia i duchy”. Zagadkowe, dziwaczne, bałeczne kolory we wzrobie w filmie Felliniego są bardzo podob-

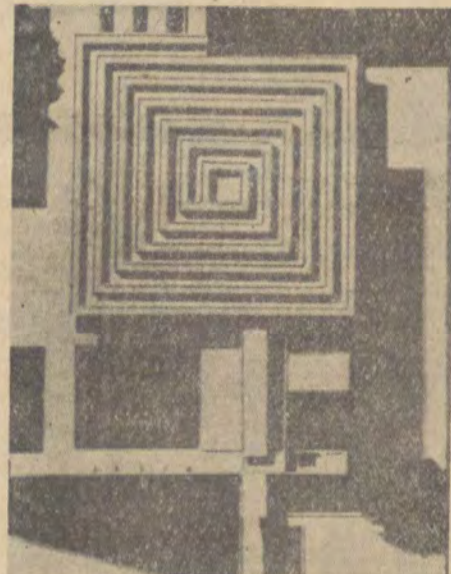
ne w typie i rodzaju do tych jakie przeżywała ludzkość po zażyciu LSD. Pewien rzymski psychoanalityk, nie ujawniający swego nazwiska, wywodził się na łamach francuskiego pisma „Cahiers du Cinéma”, że filmu Felliniego nie można zrozumieć jeśli nie przeżyło się wzięcia po LSD. Fellini odpowiedział na to drwiąco, że nie potrzebuje narkotyku i że stać go aby tego rodzaju wizje mieć i bez zażywania LSD.

ARCHITEKTURA I ŚRODOWISKO LUDZKIE

Już obecnie trwają przygotowania do Światowego Kongresu Międzynarodowego Związku Architektów jaki odbędzie się w Pradze czeskiej w dniach od 28 czerwca do 8 lipca 1967 roku. Tematem obrad będzie: „Architektura i środowisko człowieka”. Spodziewane jest, że główne referaty i dyskusja dotyczyć będą konieczności zwrotów do architektury, która nie alarmuje niekiedy głosy biologów, lekarzy i psychologów. Będzie gwałtowny wzrost miast i nadmierne szybkie przystosowywanie ich do potrzeb cywilizacji, odbywają się nierzadko bez należytego uwzględnienia wszystkich wymogów psychologicznych człowieka.

ORYGINALNY I NOWOCZESNY PROJEKT MUZEUM

Kilka lat temu słynny architekt i rzeźbiarz, Le Corbusier sporządził projekt muzeum sztuki nowoczesnej, jakie ma powstać w Erlenbach nad Menem. Budowla ma kształt ślimacznicy i jak to widać na zdjęciu (widok z lotu ptaka), zwie-



MINOU DROUET PO RAZ DRUGI

Ponad dziesięć lat temu głośno było na całym świecie o cudownym dziecku, malej po-



etce francuskiej Minou Drouet. Obecnie ma ona lat 19, jest uczennicą w szkole pielęgniarstwa i wydaje powieści pt. „Du brouillard dans les yeux” (Mgła w oczach). Książka ta zawierać będzie wiele materiału autobiograficznego Minou Drouet, która od czasu wygaśnięcia jej dziecięcego tożsamości „L'arbre, mon ami” (Drzewo mój przyjaciel) prócz nauki w szkole zajmowała się komponowaniem piosenek.

POLONICA

O POEZJI TUWIMA I GALCZYŃSKIEGO

Wychodzący w Pradze tygodnik „Literarni Noviny” organ Związku Pisarzy — Czechosłowackich, przynosi w numerze 41 (z 8 października br.) artykuł pt. „Groteski i twar polskie poezje”. Autor tego artykułu, Otakar Bartoś, omawia w nim zbiór wierszy Galczyńskiego i Tuwima, które ukazały się w przekładach znanego tłumacza literatury polskiej, Jana Pilarza. Otakar Bartoś podkreśla wysokie walory tych wierszy i świetną robotę przekładową. W wyborze Tuwima znajdują się także aforyzmy, z których dwa cytujemy: „Nie mów nikomu: idiota! — to nie jest obraza, to jest diagnoza”. I następnym: „Ażebyś mógł mieć życie u czytelnika, musisz już nie żyć, albo być cudzoziemcem lub pisac perwersyjnie. Najlepiej wszakże — być zagranicznym perwersyjnym nieboszczykiem”.

O ODOJEWSKIM W NRF

„Literaturblatt” z 11 października (dodatek do dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung”) przy nosi recenzję o powieści Włodzimierza Odojewskiego „Wyspa ocalenia”, która ukazała się niedawno na rynku wydawniczym NRF w przekładzie Gerdy Hagenau. Recenzent, Klaus Staemmler, sam zasłużony tłumacz z języka polskiego (tłumaczył m. in. utwory Jarostawa Iwaszkiewicza) pisze w superlatywach o powieści Odojewskiego, ale gani nieuczony przekład tytułu, który w niemieckim brzmi „Adieu an die Geborgenheit” i nie ma nic wspólnego z pięknym polskim tytułem „Wyspa ocalenia”. Po wydanej w r. 1962 książce Odojewskiego „Zwischenreich” (Między światami) jest to już druga jego powieść wydana w NRF.

JERZY ANDRZEJEWSKI W NRF I NRF

W comiesięcznym dodatku „Literatur 66” (z września br.), który wydaje dziennik „Neues Deutschland”, znajduje się recenzja z ogłoszonego w Berlinie opowiadania (albo malej powieści, jak kto woli) Jerzego Andrzejewskiego „Warschauer Karwoche” (Wielki Tydzień). Książka ta ukazała się ze wstępem znanego niemieckiego pisarza Stefana Hermelina. Recenzent ją równo treść książki jak i jej przekład na niemiecki ocenia bardzo wysoko. Z recenzji dowiadujemy się ponadto, że ten sam utwór Andrzejewskiego ukazał się w NRF po raz pierwszy już w 1950 roku. Obecne wydanie ukazało się w przekładzie Renaty Lachmann.
Natomiast w NRF ukazała się powieść J. Andrzejewskiego „Idzie skazac po górach” w przekładzie Petera Lachmanna w wydawnictwie Langen Müller in Monachium.

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA

Impreza coroczna, przez „Prawdę” i „Życie Warszawy”. Pierwszy etap festiwalu odbędzie się w listopadzie w Moskwie, drugi w Polsce (tu grać będzie łódzka orkiestra Debicha). Koncerty festiwalowe będą wykonane w Moskwie, Warszawie, Berlinie, Budapeszcie i Pradze.

PONIEDZIAŁEK

Zakończył się drugi etap eliminacji wielkiego festiwalu kulturalnego związków zawodowych. Wynikiem tych eliminacji są zaskoczeni sami organizatorzy. Ze 178 zespołów, do eliminacji wiodących przeszło aż 147, z ok. 70 solistów — przeszło aż 50. Wynik to wrecz rewelacja. Wynik to wrecz rewelacja. Wynik to wrecz rewelacja. Wynik to wrecz rewelacja.

WTOREK

Centrala Wynajmu Filmów, instytucja mało znana nawet zagranicą, kinomanom, obchodzi jubileusz 15-lecia. Rzadko się o niej mówi, więc przypomnijmy, że to ona dba o to, żebyśmy mieli jak najatrakcyjniejsze filmy w naszych kinach, to ona dba o popularyzację filmów wartościowych, choć może trudniejszych, ona organizuje przeglądy, festiwale, spotkania z realizatorami i aktorami zagranicznymi, ona dla 223 kin w Łodzi i województwie dostarcza 180 tytułów fabularnych rocznie. W ciągu 15 lat istnienia pokazała nam 2.000 filmów, które obejrzało bez mała 1.400 tysięcy widzów. Pracownie CWF konserwują rocznie 30 mln. metrów taśmy. Z okazji jubileuszu zjemy wszystkie filmy i jak natkniemy się na dobre filmy (egoistycznie).

ŚRODA

Notatnik ten stoi pod znakiem jubileuszy i festiwalu. Oto jeszcze jeden jubileusz. Podczas gdy w Warszawie odbywał się IX Międzynarodowy Festiwal Jazz-Jamboree 66, przez krytyków oceniony jako impreza nieciekawa i z roku na rok obniżająca swoje loty, łódzki Jazz-Club przygotował się do jubileuszu 10-lecia. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że Łódź jest kolebką polskiego jazzu studenckiego, że łódzki Jazz-Club (w przeciwieństwie do Jazz-Jamboree) rozwija się pomysłowo i ogólnie satysfakcją studentów i jazzmanów. Z okazji jubileuszu odbędzie się w Łodzi szereg okolicznościowych imprez w wykonaniu gości miejscowych, krajowych i zagranicznych, którzy uczczą w ten sposób kolegę-jubilatę.

CZWARTEK

W Klubie Dziennikarza gości ekspozycja reprodukcji światłodrukowych, wykonanych przez Graficzną Pracownię Doświadczalną Związku Polskich Artystów Plastyków w Łodzi. Pracownia zaczęła uprawiać te techniki w ubiegłym roku i osiąga bardzo dobre efekty artystyczne. W chwili obecnej GPD ma opracowane reprodukcje 11 obrazów i przygotowuje 14 dalszych. Łódzkie światłodruki — technika w Polsce rzadko uprawia-

na, obudziły zainteresowanie i te gościnnie Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie. Książki w Warszawie z uznaniem wyrażnym z ich poziomu technicznym specjalistę zagranicę. Łódzka inicjatywa obudziła też zainteresowanie Ministerstwa Kultury i Sztuki. Graficzna Pracownia Doświadczalna ma więc szansę rozwoju i przekształcenia się w placówkę zajmującą się produkcją i dystrybucją. Ma też nadzieję, że uda się jej rozwiązać kłopoty lokalowe.

PIĄTEK

I znowu festiwal. Społeczne Ognisko Artystyczne przystąpiło do wielkiego przeglądu zespołów SOA. Eliminacje potrwały do maja 1967 r., a całość zakończona będzie sesją naukową w październiku 1967. Festiwal przewidziano 6 kon kursów, m. in. na najlepszą prowadzoną ognisko, audycje muzyczne, wykonanie utworu muzycznego itd. We wrześniu rozpoczęły się eliminacje środowiskowe — I etap przeglądu festiwalowych. Warto przy okazji przypomnieć, że Łódź posiada 35 ognisk artystycznych (muzyczne i baletowe), kształcących 1900 uczniów. Rocznie ogniska, obok zajęć dydaktycznych, organizują 120 imprez z udziałem własnego chóru, baletu, orkiestry akordeonowej oraz zespołów kameralnych i solistów. Młodzież ognisk stanowi w dużym stopniu narybek dla

szkół muzycznych, kształcących zawodowych muzyków.

Statystykę darzę nabożnym szacunkiem, połączenia z podziwem. Jest to oczywiście, podejście dyletanta, czy raczej ignorant, i dlatego w moim podziwie są zawsze pewne elementy niepokoju. Na danych statystycznych dreczę mnie różne wątpliwości. Na przykład: kto wypija moją wódkę, która przypada na moją statystyczną głowę, albo z kiel: czyja pastę do zębów ja zużyję?
Z posiedzenia sejmowej Komisji Kultury i Sztuki dowiedzieliśmy się, że w ubiegłym roku jeszcze 3 miliony rodzin nie miało ani telewizora, ani radia, w październiku 1967. Wzrost w Polsce posiadano telewizory, 22 proc. to weale nie tak dużo i znowu rodzi znę programy telewizyjne? Bo przecież o te wylwizj dyskutuje 100 proc. Polaków. Ale na to pytanie można odpowiedzieć: Według przewidywań planistów w 1970 r. już 44 proc. rodzin będzie miało telewizory, czyli o 100 proc. więcej niż w 1965 r. Czy stąd wniosek, że życie towarzyskie w Polsce snadnie o 100 procent? Zawsze mam wątpliwości w sprawach statystyki.

T. Woj.

W oporowskim ZAMECZKU

W albumie zabytków województwa łódzkiego szczególny koloryt uzyskuje w lipcowym słońcu pocztówka z wizerunkiem średniowiecznego zamku. Uszlachetniona patyna wieków czerwieni murów wylania się z zielonego bogactwa otaczających drzew, odcinając się wyraziście zwar- tym konturem od błękitu nieba. Ostry słoneczny blask na-

cyjnie do Ziemi Łęczyckiej), kształcił się w Krakowie i przejeździł tam wszystkie szcze- ble uniwersyteckiej kariery, osiągając zaszczytne stanowis- ko rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Doktor praw, polityk, był pełnomocnikiem Jagielly w słynnym procesie z Krzyżakami. W 1449 roku, dzięki poparciu króla Kazimierza Jagiellończyka, o-

ny remont całego budynku i dokonał szeregu zmian nie tylko we wnętrzach, lecz i w elewacji. Przebudowa elewacji nawiązywała do zachowa- nych form gotyckich, zgodnie z ówczesną modą roman- tyczną. Romantyczny charak- ter zyskał również otoczenie zamku przez założenie rozle- głego parku angielskiego. Stę nowi on do dziś wspaniałą oprawę oporowskiego zamku — prawdziwej perły gotycki- go budownictwa obronnego na terenie naszego wojewódz- twa.

W dawnych komnatach zam- kowych mieści się muzeum wnętrz z różnych epok sty- lowych — od XV do XIX wieku. Zgromadzono tu me- ble, obrazy, tkaniny i zbroje, pochodzące z dworów i pa- laców województwa łódzkie- go, a także z darów i zaku- pów. Większość zbiorów, to depozyty Muzeum Sztuki w Łodzi, sprawującego opiekę nad muzeami regionalnymi. Nie wszystkie zabytki są oryginalne. Ze względu na ca- łość ekspozycji, trzeba je by- ło uzupełnić kopiami.

Organizując ten mały prze- gląd stylowych wnętrz, pani mgr Kin-Majewska starała się dostosować ekspozycję do wystrój architektonicznego poszczególnych sal. Dla przy- kładu na parterze, w komna- cie zwanej Skarbczykiem, gdzie zachowało się sklepie- nie krzyżowo-żebrowe, urza- dzono sypialnię z pseudogo- tyckimi meblami, wśród któ- rych najbardziej imponująco przedstawia się baldachimowe łóżko.

Na parterze również znaj- duje się salon biedermeierow- ski z I połowy XIX wieku. Bogactwo tego wnętrza po- dnoszą ogromne lustra z żar- dinierami z południowych Orset- tich — jedyne przedmioty po-

brzmiały znów dźwięki daw- nej muzyki. Komnaty opo- rowskiego zamku zająłaby jak kiedyś blaskiem świec i zaroiły tłumem gości. Kon- certy muzyki barokowej za- inaugurował nowy rodzaj im- prez, organizowanych przez panią Grażynę Kin-Majewską. Koncertu artystów Opery Łódzkiej wysłuchało wówczas 60 osób z Kutna i Żychlina — nauczyciele, lekarze, mło- dzież. Odbył się tu także Wieczór Poezji, w którym wystąpił aktorzy Teatru Ziemi Łódzkiej.

Zamek w Oporowie prze- żywa swój renesans. W la- tach 1962 — 1965 Prezydent Wojewódzkiej Rady Narodo- wej w Łodzi z kredytów Mi- nisterstwa Kultury i Sztuki przeprowadziło kapitalny re- mont połączonej z częściową rekonstrukcją budowli. Au- torem projektu był inż. arch. Wacław Bald, a realizacji do- konały Pracownie Konser- wacji Zabytków. W czasie tych prac odsłonięte zostały w trzech komnatach na pię- trze, rzadkie z zachowanych w Polsce, stropy polichromo- wane z początków XVII wie- ku. Wówczas także odkryto drzwi gotyckie prowadzące do sali balowej na drewniany gan- dek, obiegający piętro bu- dynku mieszkalnego od stro- ny dziedzińca. Po ganku tym pozostały tylko ślady, ale dzięki temu można go było w całości zrekonstruować. Dziś prowadzi on, jak kie- dyś, do małej kaplicy, wy- pełniącej wnętrze pietra baszty. Późnogotycki portal z herbem Sulima i insygniami biskupimi przypomina nam o fundatorze budowli. Kaplica jest na razie pusta. Brak w niej nawet ducha, gdyż Oporów, wbrew zwyczajowi, nie został wyposażony w ża- danego typu legendę.

Na kamiennym występie muru — adapter, Pani mgr Kin-Majewska wyjaśnia, że pragnie wykorzystać znako- mitą akustykę kaplicy i ur- ządzać koncerty dla słucha- czy zgromadzonych na dzie- dzińcu zamkowym. Wyobra- ża sobie niezwykle urok takiego muzycznego wieczoru. Ale wyobrażam go sobie jesz- cze piękniej, gdyby można by- ło zorganizować w Oporowie coś w rodzaju francuskich wi- dowskich „Son et lumiere”.

Poddaje to pod rozwagę łódzkiemu Muzeum Sztuki, naszym Wyższemu Szkołom: Muzycznej oraz — Teatralnej i Filmowej (etuda szkolna: polskie „Son et lumiere” w Oporowie!) i wreszcie — Po- wiatowej Radzie Narodowej w Kutnie, która tak hojnie wspiera rozwijające się am- bitnie najmłodszą chyba na- sze muzeum regionalne.

Wykorzystajmy w pełni ten piękny i godny pokazania krajowym i zagranicznym tu- rystom zabytek.

KRONIKA Anty-telewizyjna

OMNIBUS Z PRZECHYLAMI

Nieraz się zastanawiam, czy program telewizyjny da się na- zwwać omnibusowym, czy TV to instytucja, która ma ambicje omnibusu lub powinna je mieć. By się porozumieć, przypomnij- my, co oznacza to słowo i zain- teresujmy się, czy człowiek mający dużo wiadomości z róż- nych dziedzin, zajmujący się wieloma rzeczami, specjalista od wszystkiego, a dalej: „lajzen- ka ogólna na wiele osób...”.

Inaczej mówiąc, czy TV wy- starczy człowiekowi o średnich chęci zainteresowaniach kulta- ralnych i obywatelskich? Czy odpowiada tym zainteresowa- niom bez dodatkowego ich za- spokajania przy pomocy gazety, tygodnika, kina i teatru?

Wygląda na to, że nie. Myślę też, że gdy będziemy mieli dwa programy, to ambicje omnibusu byłyby całkiem doręczne i rea- lne. W niektórych z dziedzinach. Podkreślam: w niektórych dzied- zinach pod warunkiem, że w programach zawierałyby się kon- trwersje i sprzeczności, treści umożliwiającej rozmaitą inter- pretację zjawisk i spraw, bo przecież nikomu rozsądnemu nie chodzi o ujednolicone, unifor- mizowane opinie. Jeszcze raz dodatkowo podkreślam, że nie wierzę, iż cokolwiek całkowicie zastąpi dobrą książkę, bezpo- średni kontakt z aktorami teatral- nymi, z filmami na dużym ekr- anie.

Na razie, jeśli już zostać przy- stawie „omnibus”, jest to omni- bus z przechylami. Z przechy- lem na stronę filmu lub na stro- nę teatru, z przechyłem na stronę sportu zwłaszcza, i może, nigdy z przechyłem na stronę żywej i wszechstronnej infor- macji, podbudowanej dyskusją i publicystyką, choć doceniam programy „Monitora” czy „Światowida”, programy milie- nialne.

Był okres, gdy mogliśmy słu- chać rozmów z kierownikami różnych dziedzin naszego życia (często niestety bliższych mo- nologom), od jakiegoś czasu to się nie zdarza. A stanowi- cież ważny czynnik zarówno w edukacji obywatelskiej jak i w demokracji opinii społecz- nej.

Pod tym właśnie kątem obser- wowałem ubiegły tydzień. Nie wielką z tego wyniosłem satys- faksję. Fragmentaryczność kon- statacji i obserwacji, przyczyn- karstwo, aczkolwiek niektóre audycje miały pewien walor. Kolejna „gielda reporterów” nie przyniosła ciekawego reportażu filmowego. Co ma wybrać re- porter: albo coś wyjątkowego lub egzotycznego, mamy prze-

cież krajową egzotyke, albo coś typowego.

Audycja „Dobry wieczór, jak minął dzień” była bogatsza. Ze- stawiono, a nawet użyjmy sil- niejszego słowa: zderzono od- górne decyzje i dyspozycje z ich realizacją. Zderzenie wypadło fatalnie, ale zgodnie z rzeczy- wistością. Stosunek zarządzeń do realizacji to trop, po którym często trzeba iść. Przy okazji usłyszeliśmy parę powiდეń „prostych ludzi”, które świad- czą o tym, że warto głosowi „prostych ludzi” częściej udzie- lać ucha. Oto one: „Jakby tak fobili, jak pan mówi, to by druga Polska zbudowali...” „Wsz- ytko jest prosta robota, dopóki nie zacznie się robić...”.

Zainaugurowano w ub. tygod- niu coś dla wsi, a i nie tylko dla wsi — „klub dobrych gospodar- zów”. Wypowiedzi rolników z woj. poznańskiego były mądre i szczere.

Usłyszeliśmy również w ub. tygodniu wiadomość wstrząsają- cą, choć nienową, odnoszącą się do ekspozycji demograficz- nej. Oto w roku 2000 ludność świata będzie liczyć ponad sześć miliardów, bo już o tych ucieśla- jących obciążeniach ONZ 130 mi- lionach nawet nie ma co wspo- minać.

Czy świat się przygotowuje do tej arcytrudnej sytuacji? Jeśli aż dotąd w wielu miejscach kuli ziemskiej ludzie umierają z gł- odu lub giną w wojnie, odpow- iedź na pytanie nie sprawia, niestety, większego kłopotu. Co zapowiada poważniejsze myśle- nie o charakterze uniwersal- nym? Nie o profesorów tu chodzi, ale o mężów stanu. Tem- at dla niejednej rozmowy w TV.

Z programów innego typu trzeba m. in. wymienić poświę- cony Ignacemu Paderewskiemu. Wzmianka na wstępie, iż zaws- ze czuł się Polakiem była wy- jątkowo zbyteczna. Nie wiem, do kogo ją adresowano, skoro Paderewski był premierem rzą- du Rzeczypospolitej w 1919 ro- ku, zaś we wrześniu 1939 roku pewni politycy chcieli, by sędzi wy arcy mistrz fortepianu objął tragiczną sędę po prezydencie Ignacym Mościckim. W ogóle za wiele w tej dobrej audycji by- ło niezbyt dobrego komentarza.

Wrócił kpt. Kloss i to w do- branym towarzystwie, w uda- nym scenariuszu nowego odcin- ka przysłał „Stawka większa niż życie” stanowi bezspornie najwyższe osiągnięcie tego ro- dzaju programów.

Jan Huszczyński

daje wartość płaszczyznom światła i głębom cieni, jak w niektórych wczesnych o- brazach Moneta. Nic nie ma- ci ciszy — barwny przepych na moment zastygłego świa- ta utrwała jedynie oko.

Pocztówka jednak ożywa. Na drewnianym moście ze spróchniałych desek prze- rzuczonych przez zielonoroż- sę fosę pojawia się jeszcze jed- na plama barwna. To niebies- ka suknia wijącej przyby- wających do zamczku go- ści — kasztelanki. Słusznie, kruczwolosej pani na tych włościach od lat pięciu.

Jesteśmy w Oporowie, a do zwiedzenia wnętrza zam- ku zaprasza nas kierownik otwartego tu przed rokiem muzeum — pani mgr Grażyna Kin-Majewska. Zamczek o- porowski w powiecie kutnow- skim historią swoją sięga tych świętych dla architek- tury czasów, które wydały niegdyś i zamki nad Łorą. Zabytek nasz nie pretenduje do takiej świetności, ale i on ma swoją piękną trady- cję, swoją wysoką wartość artystyczną i swój niepowtar- zalny urok, narzucający się mieszkańcom i zwiedzającym.

Budowlę tę wznosił w latach 1434 — 1449 Władysław Opo- rowski, herbu Sulima, wów- czas biskup kujawski. Funda- tor Oporowa był najcieka- wawsza chyba postacią spo- śród długiego szeregu posia- daczy tego zamku. Syn wo- jewody łęczyckiego (Oporów należał niegdyś administra-

brany został arcybiskupem gnieźnieńskim.

Zamczek w Oporowie stał się ulubioną siedzibą arcybi- skupa. Wówczas to Oporów uzyskał prawa miejskie (ura- cił je w końcu XVIII wieku, jak wiele innych miast pol- skich) i arcybiskup Oporow- ski ufundował tu murywany kościół i klasztor w miejscu dawnego drewnianego kościo- ła parafialnego. Niedługo jednak cieszył się arcybiskup pięknym swojej siedziby.



oporów - wnętrze sala balowa - 19-00-00

Zmarł w Oporowie w 1453 roku „knięty paralizem”, według słów Jana Długosza. Opowieść głosi, że trumne biskupa, zawierająca rów- nież klejnoty i złoto, mniisi klasztorni ukryli w okresie najazdu szwedzkiego. Do dziś jej nie odnaleziono.

Po wiekach burzliwych dzieł świętość oporowskie- go zamczku wskrzesił dopie- ro w XIX wieku kolejny je- go właściciel Tomasz Orset- ti. Przeprowadził on general-

Rysunki — W. Śniadecki

został z dawnego wyposaże- nia zamku.

Trzecią komnatę parteru o sklepieniu kołobkowym zdo- bia meble renesansowe. Kopie renesansowego stołu i skrzyni znajdują się także na piętrze zamku w sali zwanej Rycerską. Jest to reprezentacyjna sala, w której niegdyś odbywały się bale, a obec- nie...

W powien czerwcowy wie- czór anno domini 1966 pod renesansowym stropem roz-



oporów - wnętrze sala balowa - 19-00-00

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Film fiński... To dobrze czy źle? Wybrzydzac czy też zachwycać się? Polski widz przyzwyczajony do fe- rowania wyroków z góry, kiedy nie ma jeszcze „błatego pojęcia” o tym, czy pokaże mu dzieło wartościowe, interesujące (jako sztuka przez du- że „S” lub też jako świetna roz- rywka) czy też zwykła, pospolita, czasem nieco rozreklamowana i prze- reklamowana „chale”, polski widz anodyktywny, podejrzliwy i także często niesprawiedliwy — tym ra- zem nie bardzo wie, jak się „usła- wić” słysząc, kto jest producentem filmu. Zawodzi nawet tak prosta metoda, jak ta: skoro krytycy pochwalili — to szkoda na to czasu. Bo o filmie fińskim iakoś mało u nas slychać, a i przeczytać też wła- ściwie na ogół nie ma czego. Polski widz przymnieć wiec na wszelki wypadek postawie lekceważaca. Mó- wiac „fiński?”, zabarwia ten wyraz mieszana zdziwieniem, podejrzliwoś-

ci i ironii, i przynajmniej waha się, czy iść do kina.

Tej kuści, jaka odnośnie kinematog- rafi fińskiej posiadają w swoich wiadomościach nasi kinomani, nie da się wypełnić w krótkiej re- cenzji. Z konieczności trzeba będzie poprzestać na kilku informacjach, podanych niemal w telegraficznym skrócie. Finlandia — kraj liczący niewiele ponad 4 miliony ludności produkuje aż 20 filmów rocznie. Mając mało chłonny własny rynek kłnowy, musi albo eksportować swoje filmy, albo robić je na tyle ta- nym kosztem, by ich eksploatacja w kraju nie była deficytowa pod względem finansowym. Nie dyspo- nując wielkimi funduszami Finlan- dia praktycznie nie ma szans w kon- kurencji z innymi kinematografiami. Szuka przeto sukcesów finansowych poprzez powielanie najbardziej cho- dliwych za granicą schematów fil-

mowych, bądź też we współproduk- cji. Obu tym tendencjom uległ „UCIEKINIER W POŚCIGU” reży- serowany przez Palmera Thompsona i Richarda Longa. Richard Long — znany aktor amerykański gra w tym filmie pierwszoplanową rolę. To on głównie miał utworzyć drogę „Ucie- kinierowi w pościgu” na rynku an- glosaskim. Występowanie w charak- terze współreżysera — to przyneta dodatkowa. Najważniejsze jest jed- nak co innego: to, że film powieła, przerabia na własny użytek jeden z najbardziej popularnych obecnie na Zachodzie schematów filmowych: historyczek sensacyjnych spod wez- wania Jamesa Bonda. Jest więc — rzecz jasna — agent wywiadu, jest niezwykle bogata w karkołomne gonitwy i bójki akcja, są biekne, w miarę rozbrane i w miarę uwod- zicielskie dzwiewzyny, pociągający, dzielni, „stuprocentowi” mężczyźni, jest luksus i zbrodnia, i nieco dwu-

znaczna atmosfera. Wszystko kończy się, oczywiście, happy-endem, spra- wiedliwość zwycięża, pościg ucieki- niera dogoła kresu. Agent-uciekini- er wraca spokojnie do swojej A- meryki. Oczywiście nie sam. Oczy- wiście z piękną kobietą.

Wszystko to ogląda się bardzo przyjemnie. Być może dlatego, że film zrealizowany został z dużym poczuciem humoru, że przedstawia swoją „bondiade” z lekkim przy- mrużeniem oka. To nadal specjal- ny smak filmowi. Dzięki temu cała ta idiotyczna akcja staje się po prostu strawna. A nawet chwilami gabiera akcentów krytycznych (choćby owa przyjaźń oparta na najtrwałszych w świecie podsta- wach: pieniądzech). W sumie oglą- da się więc „Uciekiniera w pościgu” całkiem przyjemnie. Tym bardziej, że w niektórych momentach bija się naprawdę ładnie. A przecież o to głównie w takich filmach cho- dzi.



Na całe szczęście angielski „MSCI- CIEL W MASCE” nie mści się na „Bogu ducha winnych” widzach. Jeszcze jeden pocieszyciel strapi- onych, oredownik biednych i uciesz- nych, wywodzący w pole i srodze karaący ciemiężycieli, tym razem sfabrykowany we własnej firmie Walta Disneya — zrobiony jest z wdziękiem i interesująco. Jest na ty- le inny, że nie stanowi żadnej kon- kurencji dla naszego rodzimego On- draszka czy Janosika. Mieści się cał- kowicie w znanych ramach filmu awanturczego, nawiązującego do przesławnych tradycji Dumasa. Te- renem owych awantur jest Szkocja zbuntowana przeciwko królowi Jer- rzemu i jego żołdakom. Bunt ten wyraża się początkowo co prawda jedynie przemytem, który ma po-

prawić być nadmiernie wyszkiwa- nym chłopom. Przemyciała więc szkoccy chłopci sławetna whisky i żyja dostatnio, dopóki król Jerzy nie przysłał — zaniepokojony ich nie- prawozadnością — żołnierzy do zlikwidowania tej uwłaczającej je- go godności królewskiej niesubordyna- cji. Okazuje się przy okazji, że cho- dzi nie tyle o sama whisky, co sprawce tej całej awantury, organi- zatora kontrabandy, podudźlającego chłopów do buntu — „Stracha na Wróble”, nieuchwytnego i niezwy- cijnego. Zeby było bardziej rom- antycznie — „Strachem na Wró- ble” jest, jak się okazuje, sam pa- stor. Ale o tym wiemy tylko my — widzowie. Do końca nie wiada o tym ci, którzy go szukają. Pastor jest równie odważny, ambitny, mę-

ny, co i sprytny. Któż oprze się ta- kiej potędze? Chociaż wiec woisko dwol się i trol, pastor spokojnie mó- że zapisywać w swej „Księdze po- grzebów” przemycywny towar: ilość beczek whisky. Owo cudowne inco- gnitum, które zabezpiecza go przed zdradą przekupnych, chytrych chio- pów, potrafi zachować właśnie dzie- ki przebraniu za zwykłego stracha na wróble. Założona na jego twarz maska ma jednakże i walor dodat- kowy: połączona z demonicznym śmiechem stanowi (przynajmniej w swym przeznaczeniu) extra atrakcję — element grozy. Nie zabrakło w „Mścicielu” i innych chwytów z rodowodem romantycznym. Jest sen- tymentalna miłość dobrze urodzonej panienki i dzielnego oficera, który w imię miłości, dla zdobycia reki

ukochanej odważa się na czyn wy- łatkowy i niezwykle śmiały. Jest syn, który po latach tużaczki (prz- mowsowego pobytu w marynarce w warunkach niewiele lepszych od ga- lerników) wraca wreszcie do uda- nej ucieczki do domu. Jest efektow- na ucieczka z więzienia i malownic- ze ruiny zamku, w których dzieją się rzeczy tajemnicze. Słowem — wszystko jest, co być powinno.

Opcwiście o Janosiku zaczynałaby się chyba od sakramentalnego „a jak było, opowiem”. Ale to nie baśń ludowa, a i opowieść nie słowna — ekranowa. Skończyć więc nie mniej sakramentalnym: a jak było nie opowiem. Zobaczenie sami.

MARIAREL

ZŁOTE SŁUŻĄCE HEFAJSTOSA

Przed drugą wojną światową rzadko używano słowa „automatyzacja”. Dopiero niedawno rozwinęto produkcję urządzeń elektronicznych. Metalowe roboty wydają się dziećmi naszego stulecia.

Słowo „robot” wprowadził i spopularyzował czeski pisarz, Capek, który w swojej utopijnej komedii „R.U.R.” opisał bunt robotów przeciwko wynalazcom. Choć nazwa jest nowa, a roboty stały się powszechnie znane dopiero od momentu pojawienia się science fiction i comic-strips — ich przaprzedkowie istnieły już wcześniej. W 18 księdze „Iliady” czytamy o cudownych dziełach boskiego kowala — Hefajstosa. Brzydkie, garbaty i kulawy Hefajstos był niezrównanym mistrzem w swoim fachu. Potrafił wykuć nie tylko wspaniałe trójnogi ze złotych kołami, umiał także konstruować roboty spełniające rolę służących i pomocników. Słynne są „złote służące” Hefajstosa, ludzako podobne do pięknych młodych kobiet, o których czytamy w Iliadzie, że „...do samych bogów chodzili

Inna legenda grecka opowiada o Talosie, spiżowym olbrzymie pilnującym wyspy Kreta. Wszystkich intruzów obrzucał on kamieniami lub przyciskał do rozżarzonej piersi powodując natychmiastową śmierć przez spalenie. Olbrzym posiadał tylko jedną żyłę biegnącą od głowy do pięty, zatkana gwoździem. Ten gwoździec w pięcie okazał się jego pięta Achillesowa. Poias, jeden z Argonautów, przetrzasnął mu pięcie w miejscu, gdzie tkwił gwoździec i olbrzym umarł z powodu utraty krwi.

Trzej greccy artyści i technicy pozostawili dość dokładne opisy różnego rodzaju automatów. Jeżeli uzmysłowimy sobie, że w owych czasach sprężyna zegarowa nie była jeszcze znana, a jedynymi źródłami energii była siła spadającej wody i powietrze rozszerzające się pod wpływem ciepła — to genialne konstrukcje pierwszych automatów muszą wzbudzić nasz podziw. Zachowała się m. in. część pism Herona z Aleksandrii, opisującego zasady konstruowania poruszających się figur.

Opisuje on nawet „teatr automatów”, w którym przedstawiono krótkie scenki.

Oto przykład zasady działania jednego z tych automatów:

Na ołtarzu zapala się ogień. Ogrzewa on zamknięte w otworze powietrze, które się rozszerza i tłoczy wodę do poruszających się figur. Figury zaczynają oblewać wodą pamięnie, ogień gaśnie, powietrze ochładza się i figury z powrotem nieruchomięją.

We wczesnym średniowieczu Arabowie konstruowali



Automat z r. 1760

Żyjący w tym samym czasie Ridwan opisuje zegar wodny, na którym kat ucinął głowę skazańcowi. Widowisko wprowadziło okrutne, ale jakże oddające obyczaje i ducha owych czasów.

W Europie pierwszymi twórcami automatów są alchemicy, jak np. Albertus Magnus i papież Sylwester II, który skonstruował jakoby „mówiącą głowę” — pierwszą imitację ludzkiego głosu. Jednak wiadomości o tych wynalazkach należy przyjmować z dużą dozą sceptycyzmu. Podobno Albertus Magnus skonstruował robota z żelaza, skóry, wosku i drzewa, który potrafił chodzić i mówić i czasami ucinął sobie pogawędkę z odwiedzającymi. Po śmierci wielkiego mnicha jego uczeń, święty Tomasz z Akwinu, miał rozbić posążek swego mistrza, ponieważ przekazywała mu jakoby paplanina gadatliwego robota.

W późniejszych stuleciach produkowaniem poruszających się figur zajmowali się przede wszystkim złotnicy i zegarmistrzowie. Nowy mechanizm zegarowy umożliwił bardziej skomplikowane operacje, niż stary zegar wodny. Te jednak również święcili swój renesans — mianowicie w postaci kunsztownych wodotrysków w modnych wówczas ogrodach.

Do najciekawszych osiągnięć tego okresu należy „okręt Karola V” zbudowany w Augsburgu w XVI w. Jest on zrobiony z mosiądzu i pozłacany, ma wysokość prawie 1 metra. Na pokładzie znajdują się muzykanci, heroldowie, żołnierze i orszak dworski. Kiedy zegar wybija godzinę, wszystkie figury zaczynają się poruszać i grać na przeróżnych instrumentach. Nie jest pewne, czy Karol V posiadał taki okręt, ale bez wątpienia miał zamiłowanie do wszelkiego rodzaju automatów i kiedy wstąpił do klasztoru, zabrał ze sobą nadwornego mechanika Juanelo Turiano, który konstruował mu m. in. jeźdźców na koniach i latające wroble.

Jednym z konstruktorów był Hans Bullmann, mieszkaniec Norymbergi, który będąc alfabetą posiadał genialne uzdol-

nienia techniczne. Skonstruował on m. in. wiele automatów dla cesarza Franciszka. Genialny konstruktor umarł w 1535 roku.

troniki nie zdystansowaliśmy złotych służących Hefajstosa i robotów Alberta Magnusa.

A. M.



Automat arabski z r. 850.

Rozwój zegarmistrzostwa i konstrukcji automatów osiągnął najwyższy poziom w XVIII wieku, kiedy to działali tacy mistrzowie jak Vaucanson i Knauss, Jaquet-Droz i Gallmayer — których już można nazwać dziadkami współczesnych robotów.

Pod względem artystycznym ich kunsztowne dzieła są niezrównane, a ozdobne statuetki pisarzyków i pianistek są z pewnością piękniejsze i bardziej estetyczne, niż niezgrabne, metalowe roboty, które wraz z rozwojem elektroniki coraz częściej pojawiają się na wystawach i targach.

Obecnie odwieczne marzenie ludzkości o stworzeniu sztucznego człowieka zostało zrealizowane z nawiązką, gdyż elektrony mogą się w rozwiązywaniu różnego typu zadań dużo bardziej wydajnie i sprawnie, niż mózg ludzki.

Jednak w najbliższej przyszłości nie należy się spodziewać konstruowania robota, który potrafiłby samodzielnie myśleć i działać. Toteż pomimo wspaniałych osiągnięć elek-



Automat z r. 1874

na lekcje rzemiosła artystycznego...”.
Archeologowie udowodnili, że już przed naszą erą robiono lalki i posągi posiadające zdolność wykonywania ruchów. Zupełnie wiarygodne wydają się niektóre opisy z owych czasów, jak np. notatka o posągu Jupitera Ammon, który przy przeprowadzkach wskazywał głową, w jakim kierunku pragnie zostać przeniesiony.

skomplikowane automaty i zegary wodne, m. in. roboty pijące wino, czy też podające po posiłku wodę do mycia rąk. Konstrukcja arabskiego twórcy automatów Al Dżazari o 800 lat wyprzedza zastosowanie w technice zasady „feedback”. — W zegarze gaśnie świeca, co powoduje skurczenie się metalowej kulki, która wypada z otworu i wprawia w ruch figurę trzymającą nożyczki do czyszczenia świecy. Figura ucina knot świecy.



Lewym
okiem

KTO ZABIERZE JEDNĄ OSOBE?

Pisałem już kiedyś o tym, ile wiedzy o życiu i ludziach, ile egzotyki i poezji znaleźć można czasem w zwykłych drobnych ogłoszeniach. Podtrzymuję tę tezę — ale z poprawką: drobne ogłoszenia tym są wymowniejsze, bardziej interesujące i barwne, czym większy margines życia pozostawia się zniczowej, przypadkowej grze indywidualnych interesów i indywidualnym decyzjom ludzi, nie o sobie wzajemnie wiedzających.

Jeśli do podjęcia jakiejś sprawy potrzeba jest paru co najmniej osób, to albo pozostawia się te osoby ich własnej przemyślności — szukajcie się, jak potraficie — albo organizuje się przedmiotką instytucję centralną, przeznaczoną dla danej kategorii spraw, i wszyscy szukający natychmiast się w tej instytucji odnajdą.

Jeśli pracownik szuka pracodawcy, to ma Urząd Zatrudnienia, gdzie sprawa się zaczyna i kończy.

Dopóki takich Urzędów nie było, pracownik ogłaszał w prasie swe talenty i czekał na ich nabywcę, jak na wygraną w totku. To samo czynił pracodawca, szukający pracownika, zachwalając z kolei warunki, jakie mu oferuje. Jeśli i dziś zdarzają się w szczerkowanej formie takie ogłoszenia, to są już tylko przetrzaskiem, świadczącym o niedoskonałości centralnych organów pośredniczących.

W idealnie zaplanowanej gospodarce znajdzie się zawsze na rynku akurat tyle każdego artykułu, ile potrzeba. Idealnie zaplanowana gospodarka nie znosi marnotrawstwa, a marnotrawstwem jest produkowanie nadwyżek, które później trudno sprzedać. Te nadwyżki wprowadzają sprawiają, że konsument ma możliwość wyboru; żadna instytucja centralna nigdy nie wybierze za konsumenta. Więc jak nadwyżki nie ma i wybór staje się bardziej ograniczony — od razu stan ilościowego nasycenia zaczyna się wydawać stanem niedoboru. Nie trzeba żadnej reklamy, żadnych ogłoszeń — towar sprzedaje się i tak. Znika z prasy cały potężny dział — ogłoszenia firm przemysłowych i handlowych. Jeśli się ukazuje — to albo dlatego, że produkcję jakiegoś artykułu źle zaplanowano, albo że przedsiębiorstwo wykonuje plan reklamy, chociaż odośnego towaru i tak w sklepach nie ma. Pozostają jeszcze ogłoszenia o sprzedaży używanych samochodów i motocykli, stanowiące zresztą dla hobbystów nader frapującą lekturę.

Kurczą się działy ogłoszeń. Każdy wie, gdzie ma iść w razie potrzeby. Wie też, że jeśli swojej sprawy tam gdzie trzeba nie załatwi, w tym

jeżdżącym przeznaczonym na to urządzenie — to nie załatwi jej nigdzie. Nie musimy mówić, ile wysiłków i starań zaoszczędza się przy tym obywatelom. Co prawda, żeby znów nas za bardzo nie rozpieszczę, tak się to wszystko urządza, żeby do właściwego urzędu nie było zbyt łatwo trafić. Być może więc doczekamy się ogłoszeń w rodzaju: „Szukam centrali, w której mogłabym zgłosić chęć nabycia psa rasy czau-czau”. Albo: „Kto wskaże trzydziestoletniemu teletechnikowi biuro przyjmowania zamówień na usługi wodociągowe?” — itp. Wtedy jednak powołamy Centralny Ośrodek Informacji o Biurach i Urzędach i znów zaoszczędzimy papieru gazetowego. Co mówię: wtedy. Takie ośrodki już są, dotyczące poszczególnych wycinków rzeczywistości. Pozostaje więc tylko powołać Ośrodek takich Ośrodków i czekać, co będzie dalej.

Tymczasem mamy jeszcze mimo wszystko trochę klasycznych ogłoszeń i — chociaż szczerkowane — świadczą one przecież o ewolucji, zachodzącej w stylu naszego życia. Czy piętnaście lat temu znaleźlibyście w naszej prasie taki anons:

„Kto zabierze jedną osobę samochodem Francja, lipiec, sierpień, oferty...”

Nie znaleźlibyście, bo nikt nie jeździł samochodem do Francji. Za piętnaście lat też nie znajdziecie, bo takie wyjazdy będzie organizowała odpowiednia placówka, a nie przypadkowi czytelnicy ogłoszeń. Póki co więc — powtarzam swe hasło sprzed półtora roku: czytajcie drobne ogłoszenia!

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-78. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz FUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Ogłoszy”, Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Zam. 3808 X.66. E-2